№ 30. Warszawa, dnia 16 (28) Lipca 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

LITERATURA CZESKA.

Napisał

Wiktor Czajewski.

(Dalszy ciąg.)

Pierwszy Hawliczek te niedorzeczne lub upozorowane sądy poddał krytyce surowej i zbił zupełnie dotychczasowy kierunek, przedstawiając jak najwyraźniej, że owa poezya Pycka i innych nie ma już racyi bytu i aby Czeską literaturę podnieść i zbogacić, potrzeba zaczerpnąć wzorów innych. Za Hawliczkiem a może i równocześnie z nim ogłosił Jan Erazm Wocel swój sąd i swoje mniemania w Czasopiśmie czeskiego muzeum 1849 roku. (Zeszyt II str. 148). Upomina się on tam wyraźnie, aby inne wzory do piśmiennictwa czeskiego były wprowadzone, a przedewszystkiem wskazuje za najpraktyczniejsze i za najlepsze czerpać je z piśmiennictwa polskiego, które zarysowało się bardzo pięknie a co więcej, że w „narodowym podąża kierunku."

W każdym razie trudno było przy takim stanie rzeczy rozszerzyć działalność literacką nie narażając narodowego ducha, patryotyzmu i narodowych pojęć, które w tak ciasnem kółku dotąd się obracały. Przy krytyce i świeżo wschodzącej gwiaździe nowszych poetów, którzy wszelkiemi siłami starali się o podźwignięcie czeskiej poezyi z tego ciasnego kółka, przy usiłowaniach wielu innych dobrze życzących narodowi swemu, na których czele stał Wocel, nie udało się jednak tak prędko zaprowadzić zmiany i nadać literaturze czeskiej prawdziwie estetycznego kierunku. Tak więc spełzły prawie na niczem wszystkie te usiłowania, nie wywołując najmniejszego skutku, a co gorzej, że sprawa pogorszyła się w tym względzie bardzo. Powoli zaczęli cichnąć poeci i ulubieni śpiewacy narodu, jakiemi byli Bolesław Jabłoński, Jan z Hviezdy i inni.

Literaturę piękną zastępowali w przyszłości tylko Erben, Kaubek i Niemcowa, a z nimi łączyli się Klicpera, Chocholuszek, Sabina i I. I. Kollar i jeszcze kilku mniejszego rozgłosu. W tych fazach stanęło społeczeństwo czeskie na końcu 1849 roku. Jak dotąd, tak i nadal, pomimo licznych nawoływań, nic nie czytano składając winę to na rząd, to na kierunek polityczny, to znowu na surową cenzurę.

Z boleścią patrzono na te apatye narodu czeskiego, aż wreszcie szczęśliwy pomysł założenia „macierzy czeskiej" zapobiegł choć w części złemu.

Warunki przedstawiały się dosyć pomyślnie. Każdy, kto złożył 50 złotych reńskich zostawał członkiem i otrzymywał za to dożywotnie wszystkie wydawnictwa „macierzy czeskiej".

Był to pierwszy krok do odrodzenia narodowego. Literatura czeska zaczęła się nieco rozwijać.

Od początku 1847 r., aż pod koniec 1849 r. zapisało się 1930 osób, które składały się w 50 towarzystwach. Każdy zwierzchnik towarzystwa zbierał wkładki i werbował nowych członków. Liczba ta, tak znacznie wzrosła, że na początku 1850 roku „macierz czeska" liczyła już 2,830 osób i 83 kół zajmujących się zbieraniem prenumeraty.

To przyczyniło się niezawodnie do rozszerzenia ruchu umysłowego, który coraz więcej potęgować się począł.

Mimo to w całem tem piśmiennictwie nie było ani jednej odznaki życia estetycznego (*). Po długiej przerwie ukazała się dopiero w roku 1849 romantyczna powieść Józefa Frycza pod tytułem „Upior", „Jan Hus" Józefa Kajetana Tyla i „Slze" (Łzy) zbiór pieśni V. K. Kvieta. Dalej „Wszeobecne rukojmstvi" historyczna powieść Prokopa Chocholouszka „Zły jeleń" fraszka V. K. Klicpery, wogóle prace słabe i bez żadnej prawie literackiej wartości.

Rok 1850 jeszcze się słabiej przedstawił. Wprawdzie pojawił się tu większych rozmiarów utwór epiczny „Walka z Tatarami" napisany oryginalnie przez Adolfa Józefa Vlczka, jak również „Pisnie a balady z walky uherské" (Pieśni i ballady z wojny węgierskiej), których autorem był Wicenty Turcha, ale poezye te oprócz tytułu nic w sobie poezyi nie zawierały.

Wreszcie zdecydowano się wydawać „Lumira" czasopismo tygodniowe, które jak najsłabiej rozpoczęto redagować. Po trzech dopiero latach podniosło się ono znacznie, gdy w nim rozpoczęto umieszczać przekłady.

Jak było mało współpracowników i piszących, najlepszem dowodem może być fakt, że dla braku prac, w szczególności dramatycznych zaczęto odgrzebywać stare sztuki Klicpery i przedrukowywać je na nowo. Tak przedrukowano „Węglarkę" wyszłą po raz pierwszy w 1821 roku. „Popelku Warsawsku" drukowaną w 1844 r. „Brnieńskie (**) koło", które wkrótce ukazały się w przekładzie niemieckim. Dalej za nimi poszły i inne sztuki jak „Zavisza", „Bulgar", „Pujczka za oplatku" (Pożyczka na procent) i t. p., które były dru-

(*) Ferdynand Schulz O upadku literatury czeskiej w „Oswiecie".

(**) Brno miasto morawskie.

kowane znacznie później bo w 1844 r. nakładem Ehrlicha.

Ale i ten słaby ruch umysłowy niebardzo podobał się Niemcom, zaczęto chwytać jego przewódców i więzić. Na pierwszym planie stał wówczas Havliczek, którego uwięziono i zesłano do Brikseny (Tyrol) a policyjny sprawca Sacher von Masoch wszedł do zarządu czeskiego muzeum. Nastała najnieszczęśliwsza pora, gdzie literatura czeska, wedle słów Jakóba Malégo najnieszczęśliwszych doczekała się czasów. Coraz więcej obcinano artykuły w „macierzy czeskiej" a nawet zapowiedziano redakcyi, że sprawa tego rewolucyjnego organu, który bronił Czechów od zniemczenia wbrew ówczesnej polityce, oprze się aż w Wiedniu. Nim jednak dokonano tego, „macierz" przechodziła najsmutniejsze koleje. Z szeregów jej wierszy rozpoczęto kreślić wszystkie słowa, które Czechom przypominały, że byli narodem samodzielnym, że mieli swoją ojczyznę, że mieli swoją matkę, że cała ich historyczna przeszłość istnieje na kartach dziejów i że przynieśli pewną korzyść Europie i chrześciańastwu, a nawet wyraz Słowianin zakreślono tak szczelnie, aby nawet redaktor nie mógł go drugi raz powtórzyć sobie choć pocichu. Był więc naród którego odarto ze wszystkiego, a choć dziesięciowiekowa przeszło cywilizacya wyryła niezatarte ślady, na tej ziemi, niepozwolono mu nazwać jej swoją matką i ojczyzną. Cóż było mówić o swobodzie i prawach narodowych, o uczuciach braterskich, dawnej waleczności i cywilizacyi, kiedy nawet tak prostych i naturalnych słów wypowiedzieć wzbraniano i to w XIX wieku po narodzeniu Chrystusa.

I któż to przeprowadzał to wszystko? Czy Turek lub Mongoł ze stepów afrykańskich, czy barbarzyński czciciel Molocha?

Nie, nie — to naród, który oddawna uważał siebie za najwięcej ucywilizowany i pragnął imponować swoją nauką i wyższością.

W takich warunkach zaczęła się wznosić po roku 1848 czeska literatura, usiłowania jej były podobne do usiłowań skutego więźnia, który pragnąc uczynić ruch jakiś, wpierw musi brzęknąć łańcuchami, lub wspólnie skute w kajdany ręce podnosić. Zebrani około „Lumira" współpracownicy niezbyt pokaźnie świadczyli o siłach ówczesnych, ale z każdym rokiem przybywało ich więcej. „Lumir" rozpoczął swoje istnienie pod redakcyą Ferdynanda B. Mikowca historyka, archeologa i autora wielu drobniejszych i większych prac mniej ścisłych, pomieszczanych po większej części w swoim własnem piśmie. Na wstępie znajdujemy tam wiersz, może jeden z ostatnich, Jabłońskiego, w którym po za każdą strofką powtarza „U nas inaczej".

Przy rozpoczęciu redakcyi znajdujemy po większej części wstępujące tu nowe i młode siły. Także odbijają się imiona później sławnych osób, jak Maryi Czackiej. Wreszcie przekłady uzupełniają całość, na wstępie samem znajdujemy Czajkowskiego „Kalina", Mickiewicza „Farys" i t. p. Jedno z lepszych oryginalnych prac jest niezawodnie powieść zmarłego przedwcześnie poety Henryka Machy pod tytułem „Cygani" o której powiemy obszerniej gdzieindziej.

Już w 1853 r drukują tu swoje pieśni Suszil i Heyduk, zapewne wpierw już i Halek był tu czynny. Dalej widzimy znaczną część przekładów, a w szeregu nich wyłącznie lub po większej części rzeczy polskie i tak z Siemińskiego i z Karpińskiego (elegie). Riegier Franciszek Władysław dzisiejszy patryota czeski, rozpoczyna swoje czynność literacką i piśmienniczą w „Lumirze" wierszu „Pierwsza łza" dosyć rzewnem i sympatycznym, i przekładem z Huga „Mojżesz z wody uratowany". Jako prozaicy występują tu: Kollar „Pierwsze piekła twory", Cenek Stranicki „Anna", Jan Mestecki „Pan Baron". Reszta po większej części przekłady z polskiego zapełniają „Lumir" i tak tłomaczą tu Witwickiego „Śluby przyjacielskie", Dzierżkowskiego „Płacz i śmiech", Rzewuskiego „Kto więcej wypije", Szczygielskiego „Trzy godziny z mego życia", Chojeckiego „Powieści krymskie", Dulskiego, Zielińskiego „Sajdaczny".

Przedewszystkiem ulubionym autorem jest Czajkowski, którego utwory zaczęto na wstępie przekładać. „Paweł Wychowski" (wyszedł 1851 roku) i inne. Jako historyczni a raczej historycznej powieści pisarze występują tu z dość częstemi pracami Edward Herold „Dzwon *loch mar*" i „Budowniczy Karola". Słowem, że gdy się wpatrzymy bliżej w piśmiennictwo Czeskie, to musimy nabrać przekonania, że początkowo literatura czeska rozwijała się aż do roku 1856 jedynie, a raczej przeważnie pod wpływem polskiej, chociaż już w 1853 wdarł się tu i Byron w części przekładu „Więźnia Chillonu", Szekspir w tłomaczenie Douchy i Moora niektore drobne i pomniejsze wierszyki.

Z każdym rokiem „Lumir" znaczne robił postępy. Grono współpracowników zwiększało się też z każdym rokiem, a tem samem i treść się urozmaicała przekładami. Powoli zaczęli tu wchodzić francuzcy, angielscy, hiszpańscy i rosyjscy pisarze, jak również inni południowo słowiańscy, poezya i powieść zaczęły się znacznie rozwijać, a do piśmiennictwa przybyły jeszcze świeże odrośle literatury, jak: klechdy i gawędy ludowe, oraz powieść ludowa (rok 1855).

(*D. c. n.*)

Amor i czas.

(Bajka czy nie bajka?)

Zwiedziwszy w hyżym locie różne strony świata,
Amorek ze zdumieniem powitał te gaje
Gdzie mu niegdyś w rozkoszy biegły dni i lata,
„Drogie miejsca!" zawołał, „ja was niepoznaję!
„Gdzież ślady mojej pracy, które was zdobiły?
„W miejscu róż widzę osty, głogi i pokrzywy,
„Zamiast powabów wiosny, jesienne mogiły;
„Czyżby dzieła rąk moich wróg spustoszył mściwy?
„W ustroni tej, przysięgę podsłuchawszy rzewną.
„Pamiętam, lube imię wyryłem na drzewie,
„Zatarte!!... Słabe zgłoski wicher rozwiał pewno!...
„Z przysięgą co się stało? Niestety! nikt nie wie!"

I zapłakał chłopczyna gorzko a serdecznie,
Wtem stanął przed nim starzec zgarbiony i siwy,
I rzekł surowo: „dziecię, miarkuj twe porywy:
„Czyż sądzisz, że twe dzieła mogą istnieć wiecznie?
„Wszak wiesz: na co bogowie na świat *mnie* zesłali,
„Rozdzielam, co ty złączysz, co stworzysz, ja niszczę;
„Przybytki twe zamieniam w ruiny i zgliszcze,
„A w nicość ideały."

Rzekł i poszedł dalej.

Był to Czas, wróg Amora, jak głoszą kroniki!
Gdzieindziej spotkał Geniusz, Naukę i Cnotę,
W przechodzie uszanował trwałe ich pomniki,
I sam je przyozdobił w wieńce szczerozłote.

Emilia.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Pani Smirska ciotka Zbinia była to kobieta z niemałym rozumem, przyćmionym wprawdzie zbytniem przecenianiem swej godności, ale w kwestyi gromadzenia bogactwa bardzo praktycznym.

Owdowiawszy i odziedziczywszy cały majątek po bogatym swym znacznie starszym mężu, całą usilność obróciła na przywrócenie dawnej świetności imienia Długoszów.

Oszczędna nawet skąpa, z oburzeniem patrzyła na nieoględne marnotrawstwo swego brata Władysława, zerwała wszelkie z nim stosunki, a gdy już był w upadku, tak oczyściła interesa, że przynajmniej majątek matki Zbinia, choć dobrze zaszargany, potrafiła wydobyć z ruiny. Nie był on wielkim, połączony jednak z jej mieniem, którego posiadaczem miał zostać Zbinio w przyszłości, stanowił piękną fortunę pańską. Ale i to jeszcze było za mało.

Małżeństwo miało dokonać reszty ubogacenia ukochanego przez nią siostrzeńca. Nieboszczyk jej mąż miał na wychowaniu rodzoną synowicę Walentynę, sierotę od lat najmłodszych, dziedziczkę ogromnego majątku, znajdującego się w rękach kilku zastawników i kilku dzierżawców roszczących sobie wielkie pretensye. Były tam i długi i różne zastarzałe sprawy: mąż jej zawsze się zbierał do uregulowania całego interesu, ale zawsze coś mu stawało na przeszkodzie i umarł nic nie zrobiwszy. Żona spełniła to i tak wszystko poprowadziła, że dobra całe, pousuwawszy zastawników, spłaciwszy wierzycieli nabyła na swe imię na publicznej licytacyi, nie w chęci ukrzywdzenia sieroty, ale uzyskania swobody w przyprowadzeniu do skutku ułożonego przez nią małżeństwa Zbinia z Walentyną.

Plan ten jednak cały trzymała w największym sekrecie, nikt o nim nie wiedział, nawet nie domyslano się, tak pani Smirska umiała wszystko cicho i zręcznie prowadzić.

Panna Walentyna w Paryżu i Londynie kończyła edukacyą. Nauczyła się mówić po francuzku prześlicznym paryzkim akcentem, po angielsku jak Anglik, po niemiecku lepiej jak Wiedeńczyk, grała na fortepianie i śpiewała z błogością i pojęciem prawdziwego artysty, umiała niezgorzej malować, sądzić o rzeczy rozumnie, znała literaturę obcą, ojczystą dosyć a historyą szczególniej z lat ostatnich nawet dobrze, lubiła czytać, rozprawiać, miała serce przewyborne, poczucie obowiązku wielkie, ale, na nieszczęście!... była zupełnie nieładną.

Płowa blondynka, blada bez rumieńca, dość wysoka, z policzkami kościsto sterczącemi z brodą

wązką i ustami dość grubemi, trzymała się pochyło, z ramionami jakby spracowanemi, a gdy chciała czemu przyjrzeć się lepiej, przymrużała oczy co jej także wdzięku nie przydawało. Pani Smirska znała dobrze tę ujemną stronę swej wychowanicy, ale miała nadzieję, że wytworne, staranne wychowanie, ułagodzi te braki i mniej je zrobi rażącemi.

I dopięła swego. Walentyna wypiękniała, wdzięk jej jednak był ukryty nie dla każdego oka przystępny, trzeba go było ożywić, wydobyć jak iskrę ze stali a wtedy niby błyskawica przebiegał po jej twarzy w blasku całej swej piękności. Chwile te przecież nie często się zdarzały.

Wywoływały je jedynie rozmowy, dalekie od drobnostek powszednich, wnikające w głębiny serca ludzkiego, w tajemnice życia, jego przeznaczenia i obowiązków na wzór uczonego badacza, co patrząc i widząc rozważa a domyśla się więcej jak widzi.

Zbinio do wydobycia tej iskry drogocennego wdzięku, nie był zupełnie usposobiony. Wiedział wiele ale nic nie umiał dobrze, czytał dosyć ale pobieżnie, książki znał z treści i z tytułu ale nic z nich nie przetrawił, nie przyswoił jak należało. Żądny nowości, chciwy postępu, chwytał je o tyle o ile potrzeba było aby w rozmowie salonowej błysnąć dowcipem, wystąpić z zamaszystem zdaniem kwestyą odrazu rozcinającem i pokazać, że nie jest nieukiem i z postępem wiedzy idzie razem ręka w rękę.

Kiedy po sześcioletnim pobycie zagranicą, Walentyna wróciła do swej opiekunki, pani Smirska z żalem odrazu spostrzegła, że pupilka jej nietylko niewyładniała ale zbrzydła i z rozwinięciem budowy fizycznej, wady jej powierzchowności rozwinęły się także w sposób bardzo niepochlebny.

Zaniepokoiło ją to wielce, tymbardziej że Walentyna okazała się mało dbałą o ukrycie wad tych sposobami tak naturalnie wielce cenionemi przez wszystkie kobiety. Gdy jej zrobiła odpowiednią uwagę, panienka uśmiechnęła się smutnie.

— Moja stryjeneczko — odrzekła — na co się zdały wszystkie starania i zabiegi, aby co szpetne ładnem się wydało? Wiem, że jestem nieurodną nie z mojej winy i że taka na zawsze pozostanę. Nie straszę się tem ani martwię, urody nikt nie kupi jak bułki na straganie, a kto myśli inaczej naraża się na śmieszność. Co do mnie wcale nie pragnę zostać wyśmianą a może nawet okrutnie wyszydzoną...

— Wszystko to bardzo rozumne co powiadasz— rzekła na to pani Smirska — ale we wszystkiem jest pewna granica, której przekraczać niewolno. Kobiety powinny się starać podobać nietylko rozumem ale i udatną o ile można powierzchownością choćby nawet sztuką podniesioną...

— Sztuką? — przerwała ze śmiechem Walentyna — ah! kochana stryjenko przebacz otwartości, ale tą drogą męża zdobywać nie myślę. Jeżeli zdarzy się ktoś taki co mnie zechce wziąć za żonę i ja zgodzę się na to, niechże mnie weźmie taką jak jestem a nie w ułudy sztuki przybraną. Jeżeli nie znajdzie się, to cóż robić? Zostanę starą panną, życie nie maskaradą, w której się albo w masce, albo bez niej występuje.

Kiedy ją Zbinio pierwszy raz zobaczył, powitał z galanteryą prawdziwego salonowca.

— Ah! jakżeś kuzynko wyrosła — zawołał ściskając jej rękę — jakżeś się zmieniła korzystnie. Prawdziwie gdybym nie wiedział o twoim powrocie, nigdybym nie poznał, że to ta sama Walentynka, niegdyś psotna figlarka, przemieniła się w panienkę tak ujmującej powierzchowności.

— I jabym cię kuzynku nie poznała — odrzekła dzieweczka ze szczerą radością, witając towarzysza lat swoich dziecinnych. — Wyrosłeś zmężniałeś, a nawet wyładniałeś co nie jest rzeczą wcale do pogardzenia. Gdybyś mógł mi choć troszkę swej urody ustąpić, nicbyś na tem nie stracił a jabym wiele zyskała.

— Kuzyneczka lubi widzę żartować — odrzekł Zbinio zbity cokolwiek z tropu — i ja nie jestem od tego, obiecuję też sobie bardzo miłe z nią towarzystwo. Salon cioci ożyje życiem, którego mu brakowało.

Rozmowa dalsza potoczyła się po wspomnieniach minionej przeszłości, wypadkach różnych, zwadach, nieporozumieniach, o starych sługach, pobycie na pensyi i w uniwersytecie, w którym Zbinio lat parę słuchał kursów po amatorsku, a że umiał ją zręcznie prowadzić i krasić wesołością i dowciwem i z lekką jakąś uwagą lub sarkazmem przesuwać się z przedmiotu na przedmiot, jak wprawny łyżwiarz po taflach przezroczystego lodu, Walentyna uznała go bardzo miłym młodzieńcem i nie wahała się zdanie to objawić stryjence.

— Jak go poznasz lepiej — odrzekła pani Smirska — jeszcze go pochlebniej ocenisz. Jest zdolny, umysł ma bystry, w każdem towarzystwie pożądany, umie zająć, zabawić, troszkę jeszcze szaławiła, troszkę w myślach za wiele ognia, pewności siebie, za wiele może samodzielności, ale czas wszystko to ułagodzi, wyrówna i mam nadzieję, że zajmie stanowisko w kraju, godne miana, które po przodkach odziedziczył. A obowiązek to wielki nie braknie mu i środków po temu. Majątek wprawdzie po matce został bardzo uszczuplony, ojciec jego a brat mój pan Władysław, stracił wszystko co z rodzicielskiego mienia odziedziczył...

— Biedny wujek, żałuję go serdecznie, chociaż plenipotent stryjenci pan Brzocki utrzymuje, że to stało się z jego własnej winy.

— Tak jest, moje dziecko, Brzocki to człowiek bardzo rozumny i doświadczony, ale Zbinio na tej nieoględności ojca nic nie ucierpi. Jest moim synem chrzestnym, kocham go jak własne dziecko, co więc moje jego się stanie kiedyś własnością.

— To Zbinio będzie bardzo bogaty — zawołała Walentyna — bo pan Brzocki powiedział, że kochana stryjencia tak rozumnie zarządziła wszystkiem, iż stała się głową całej rodziny Długoszów a ja go za to z radości ledwo nie uściskałam.

— Byłby to wybuch cokolwiek za gwałtowny...

— Ale szczery, stryjenciu kochana, prosto z serca idący, bo każda pochwała tych co bardzo kocham za własną uważam.

— Piękne to uczucie — odrzekła pani Smirska — ale na twem stanowisku panienki w świat wchodzącej, rozwaga wielka czynnościami powinna kierować.

— Czy i w wyrażeniu uczucia wdzięczności? — zapytała Walentyna.

— W każdym wypadku zawsze i wszędzie — odrzekła p. Smirska. — Uniesienia wszelkie gwałtowne nie przystoją tym co wyżej stoją nad gmin pospolity, a ty nazywasz się Smirska, Walentyna Smirska, nigdy nie zapominaj o tem. Ród to stary i bardzo zasłużony w kraju, jesteś ostatnią jego odroślą...

— Ostatnią? — przerwała z trwogą Walentyna. — Nazwisko to więc wraz ze mną zaginie?

— Niestety — tak się stanie moje dziecko, ale i na to znajdzie się sposób.

— Jakiż to, jakiż? — zapytała z zajęciem Walentyna.

— Mąż twój przyszły, może do nazwiska swego dołączyć miano Smirskich i zwać się np. Długosz Smirski. Prawda, że toby bardzo ładnie wyglądało?

— Bez wątpienia — potwierdziła Walentyna— to zupełnie jak w Anglii. Tam poznałam lorda Glocester, który zwał się hrabią Warwick, Allan, Bukickham i jeszcze inaczej a wszystkie te nazwy równie były używane i jemu jedynie służyły.

— Tak moje dziecko, zwyczaj to chwalebny — odrzekła p. Smirska — bo choć w prostej linii potomstwo się kończy, nazwisko zachowuje się w pamięci narodu przez wieki i pokolenia. Na tem wspiera się cała budowa porządku społecznego, należy tylko baczyć, aby nazwiska tak połączone godne były siebie i w zasługach przeszłości zbyt się nie różniły, bo w przeciwnym razie utworzyłyby miksturę bardzo niesmaczną coś nakształt mieszaniny octu ze starym węgierskim tokajem.

— Oh! stryjenciu, to prawdziwa trucizna!—zawołała Walentyna.

— Tak, moje dziecko i jak trucizna trując tak złączone nieoględnie z sobą wody, trułyby cały organizm społeczny, a to byłoby zbrodnią wobec przeszłości i przyszłości zarazem.

— Oh! niechże nas Bóg od tego strzeże! — wyrzekła Walentyna.

— Przy pomocy Bożej i mojem staraniu unikniesz tego strasznego upadku, bądź spokojną moja dzieweczko.

— Jeżeli naturalnie wyjdę zamąż — domówiła Walentyna.

— I to zostaw mojej o ciebie troskliwości a wybór przyszłego dla ciebie małżonka jestem pewna, że ci się spodoba.

— To pewno będzie podobny do Zbinia — odezwała się Walentyna głosem najnaturalniejszym.

— Czy ci się spodobał? — zapytała p. Smirska z zajęciem.

— Czyż nie jest synem przez ciebie przybranym stryjenciu kochana?

— Bardzo przystojny z niego mężczyzna, nawet ładnym nazwać go można.

— Ładnym? A to muszę mu się lepiej przypatrzeć — odrzekła Walentyna — bo choć piękność materyalną z pięknością ducha nie da się nawet porównać, mimo tego wszystko co piękne, nawet najmniejszy kwiatek w dzikiej wyrosły pustyni, pociąga mnie, zachwyca, choć przecie duszą nie jest ożywiony.

— Jest to uczucie bardzo naturalne — odrzekła p. Smirska — podnoszące nas nad świat zwyczajny i im bardziej rozwinięte tym więcej świadczące o szlachetności jego posiadacza. Prostak wyrosły w nizinie społecznej o piękności prawdziwej nie ma nawet pojęcia, wzmaga się ono dopiero stopniowo, warstwami ludzkość całą składającemi i dochodzi do szczytu w tych, którzy jej przewodniczą.

— To prawda, jest to postrzeżenie stryjenci wielkiej doniosłości. Jednakże...

— Przyjrzyj się tylko otoczeniu wszystkich stanów społecznych — mówiła dalej Smirska — od najprostszego wyrobnika, kmiecia, rzemieślnika, rolnika, aż do uszlachetnionych zasługami długiego szeregu przodków, tak zwanych magnatów zdobnych różnemi tytułami, wreszcie książąt krwi i monarchów, a ujrzysz jak to poczucie piękności podnosi się, jak od prostej ławy, sprzętów domo-

wych, bohomaz na ścianie rozwieszonych, kształci się, szlachetnieje i dochodzi do takiej wyniosłości, że je niemal tylko arcydzieła wszelkiego kunsztu zaspokoić mogą.

— I to wielka prawda—potwierdziła Walentyna z baczną uwagą słuchając wywodów swojej opiekunki — ale powiedz mi stryjenciu, czy poczucie piękna rozwija się jak dąb, który długich wieków potrzebuje, aby dorósł do ostatecznego swego rozwoju, czy też nauką, która już w krótszym bez porównania czasie jednostkę przemienia w człowieka, ze wszystkiemi poczuciami godność jego stanowiącemi? Co do mnie, prawdziwe ocenienie piękna długo było mi obce i dopiero niedawno zrozumiałam je, ale więcej jeszcze w świecie ducha jak materyi, chociaż jak powiadasz jestem ostatnią z rodu i to bardzo znakomitego.

— Pomów o tem ze Zbiniem — odrzekła pani Smirska — słuchał kursów uniwersyteckich, studyował prawo i filozofią...

— Prawo? — zawołała Walentyna — to tak zupełnie jak angielscy panowie, czyż więc zostanie prawnikiem?

— Cóż ci się roi w głowie?

— Czy to niedorzeczne było pytanie? — zapytała Walentyna z obawą.

— Nie, tylko dziwne, bo któż słyszał aby bogaty człowiek u nas adwokatował.

— Widzi stryjeneczka, jak byłam w Anglii to z hrabią Pawłem i panem Brzockim oglądaliśmy różne zakłady prowadzone osobiście przez same znakomitości rodowe. Zwiedziliśmy folwark gospodarowany przez księcia Alberta męża królowej Wiktoryi, hodowlę drobiu i trzody pod zarządem ich dzieci, fabrygę krochmalu lorda Graen, garbarnię hr. Molische, ludwisarnię lorda Liwingthona. W Graenwichl w fabryce wyrobów żelaznych oprowadzał nas jakiś zamorusany, zapaćkany, w bluzie przewodnik. Kiedy ukończywszy oględziny miał nas pożegnać, hrabia Paweł chciał mu dać dukata za fatykę, a wie stryjeneczka kto to był? Sam właściciel pan kilkunastu milionowej fortuny, pan Dawis mający prześliczny pałac w Londynie, liczną służbę, powozy, konie. Co to było potem śmiechu, co przepraszań, a pan Dawis nie rozgniewał się i powiedział, że w Anglii wszyscy panowie tak jak on pracują w różnych przez siebie obranych kierunkach. Patrząc na niego z wielkiem poszanowaniem, pomyślałam sobie, jakże dumną może być żona mająca takiego męża! Dlatego też spytałam się, czy Zbinio zostanie prawnikiem, skoro uczył się prawa.

— Co kraj, moje dziecko — odrzekła p. Smirska — to inne wymagania i potrzeby. Panowie angielscy są sławni ze swego dziwactwa, nieraz do obłędu dochodzącego. Pan Dawis jest jednym z nich, bo czyż to nie śmieszność bzikowata, aby mając miliony i pałace chodzić w zapaćkanej bluzie jak wyrobnik i pełnić obowiązki przewodnika.

— Ah! to prawda, że wyglądał bardzo nieciekawie — odezwała się ze śmiechem Walentyna — ale p. Brzocki chwalił go niezmiernie i powiedział, że byłoby bardzo dobrze, gdyby z towarem angielskim sprowadzono do nas choć kllku podobnych Dawisów, dla zaszczepiania w głowy nasze angielskiego rozumu.

— Głupiec! — zawołała z wybuchem p. Smirska, zaledwie mogąc powstrzymać uniesienie.

— To samo stryjeneczko powiedział i hrabia Paweł, gdym mu powtórzyła ten żarcik pana Brzockiego... ale możem to niewłaściwie zrobiła... może i teraz... jam taka nieuważna.

— Pan Brzocki mógłby dowcipki schować dla swoich przyjaciół. Panowie nasi nie potrzebują ani od niego, ani od Anglików rozumu pożyczać. Przechowanie tradycyi wiekami wyrobionej w nieskalanej niczem czystości oto ich najpierwsze zadanie, aby utrzymali tego ducha poświęcenia z jakim kiedyś przewodnicząc całemu narodowi, byli gotowi na każde jego wezwanie. Zyski chwilowe, zażarte gonitwy za groszem i zarobkiem w handlarstwie, w bankierstwie i w różnych spekulacyach, jako zbyt przykute do materyi, na energią, na hart ducha niekorzystnie oddziaływają, a nawet podlą go i śmierć mu zadają. Nie łokciem ni miarką przywraca się życie w omdlałej społeczności, ale tem czem niegdyś słynęła.

— Jakże lubię słuchać podobnych dowodzeń — odezwała się Walentyna — co nas tak wyrywają z powszedniego życia i otwierają świat tak mi mało jeszcze znany. Muszę w tym przedmiocie rozmówić się obszerniej ze Zbiniem, tylko to nieszczęście, że mu zawsze brak czasu. Co on robi stryjenciu po dniach całych, że go tak trudno uchwycić na dłuższą gawędkę?

— To co wszyscy, moje dziecko — odrzekła p. Smirska po pewnej chwili. — Każdy ma swoje stosunki, obowiązki z nich płynące, znajomości i...

— I cóż więcej?—zapytała Walentyna, widząc że opiekunka jej nagle umilkła.

— Organizowanie różnych zebrań publicznych w celach zwiększania funduszów towarzystwa dobroczynności — mówiła dalej p. Smirska — niezmiernie wiele czasu pochłania, a bez niego nic się dobrze nie uda...

— Ah! to zacnie i szlachetnie z jego strony. Jakże go szanuję, że biedę ludzką garnie pod swoją opiekę. W Anglii to panie głównie się tem zajmują, a panowie są ich tylko doradzcami i pilnują ważniejszych przedmiotów.

— No i on także w działalności dobroczynnej tylko pomocniczy, a należy do towarzystwa wyścigów konnych, tak pomyślnie na podniesienie hodowli inwentarzy wpływających.

— Ah! jakiż ten pan Brzocki dziwak — zawołała Walentyna. — A toć on stanowczo twierdził, że wyścigi końskie, to śmieszna zabawka, jak topola co wysoko sięga a nie daje ni cienia, ni owocu.

— Nie tacy jak on rzecz tę dawno roztrzygnęli — odrzekła p. Smirska z widoczną niechęcią — to o zdanie jego nikt się pytać nie będzie.

— Jak to dobrze, żeśmy się tej kwestyi dotknęli — mówiła dalej Walentyna. — Muszę ze Zbiniem obszerniej się rozmówić... mam pewne wątpliwości, bo Brzocki to światły człowiek, hrabia Paweł zawsze się o nim jak najlepiej wyraża.

I Walentyna z podpartą głową, przygarbiona, troszkę pochmurzona, zamyśliła się i gdy nowem pytaniem chciała przerwaną rozmowę ożywić, pani Smirska ozwała się z widoczną niecierpliwością:

— Ah! Walentynko, wyprostuj się, rozjaśnij twarz bo wyglądasz jak czupiradło.

Dzieweczka zmieszała się, nawet twarz jej lekkim pokryła się rumieńcem, ale nie śmiała już słowa przemówić. Opiekunka jej także umilkła i pomyślała:

— Co wadnego jest w wychowaniu tej dziewczyny, brak gruntu swojskiego, jakaś dziwna ekscentryczność niezgodna z naturą kobiecą. Lękam się, aby to Zbinia nie zraziło.

Po pewnej pauzie milczenia, Walentyna zbliżyła się do swej opiekunki i ujmując ją za rękę rzekła z uczuciem:

— Kochana stryjenciu, widzę, że jesteś ze mnie jakaś niezadowolona, a ja tak pragnęłabym nigdy niczem nie zrobić ci przykrości. Przebacz mi, tak mało wiem, tak mało umiem, a tak pragnę wiele, bardzo wiele się nauczyć. Mogę ci się wydać czasem nudną, a może nawet głupkowatą, nie bierz mi więc za złe, gdy z czem wystąpię takiem, co w tem sensu za grosz nie znajdziesz.

Pani Smirska wyciągnęła rękę do swej pupilki i przytuliła głowę jej do piersi.

— Oj! ty pieszczotko moja kochana — rzekła głaszcząc dzieweczkę po buzi. — O bezsensowne twoje odezwanie się, jestem zupełnie spokojną. W główce u ciebie zapasu myśli, pojęć rozumnych jest dosyć, tylko to jeszcze niewyrobione, nieuporządkowane, prawdziwy bigosik hultajski. Trzeba abyś okulary zachodniego wychowania, przez które na wszystko spoglądasz, zdjęła z oczek swoich, a patrzyła na świat nasz, na nasze położenie i potrzeby, na nasze wymagania jak prawdziwa Polka oczami dobrej wnuki naszych zacnych poczciwych prababek...

— Oj! stryjenciu kochana tego tylko pragnę — przerwała Walentyna składając ręce. — Ja przeszłość naszą tak kocham, z taką żałobą w duszy wczytuję się w jej dzieje od chwili jak się zaczęłam bliżej z nią zapoznawać... naucz mnie więc jak mam zostać dobrą wnuką zacnych naszych i ukochanych prababek. Tyś stryjenciu miłość we mnie dla nich rozbudziła, tyś mnie nauczyła je kochać i szanować, radź więc radź, a we wszystkiem będę ci posłuszną.

— Dobrze moje dziecko, pragniesz tego co jest jedynem mojej życzeniem, ale przedewszystkiem stań się dbalszą o swą powierzchowność...

— Dobrze, stryjeneczko...

— Powierzchowność, moje dziecko, nie jest tak małą rzeczą jak ci się zdaje. Ona najpierw nęci, przyciąga, przywiązuje a potem otwiera główki i serduszka takich jak ty dziewczek, aby je ukochano nietylko oczami ale i duszą całą.

— To prawda, wielka prawda — odrzekła Walentyna z westchnieniem i zaczęła z uwagą przeglądać książki w pięknych oprawach leżące na stoliku.

(*D. c. n.*)

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

— Ej mości wojewodo! — ozwał się nagle tuż obok książę Jan Siemion Słucki, który z niezwykłym zajęciem śledził każdy ruch i każde słowo Małgosi — nie waszej miłości służba taka! Są tu młodsi, im też zostawcie ubieganie się o względy jejmość panny Żędzianki.

— A cóż to? czyż ja gorszy od was mości książę? — zapytał wojewoda Poznański. — Nie sądźcie mnie z powierzchowności, duch we mnie jest

jeszcze młody, a więc nie dziwota by była, gdyby w moim sercu rozgorzała pochodnia amora.

— Zaprawdę mości wojewodo, dziwa wielkiego w tem by nie było, boć przecież wiadomo, że i w starym piecu nieraz ..

— Dyabeł pali! toś chciał zapewne kniaziu powiedzieć? nie przeczę temu! i wierzaj mi, że ogień jaki on roznieca straszliwszym jest nieraz od ognia piekielnych czeluści.

— Szczególnie, gdy go rozdmuchuje jaka namiętność — dodał Jan książę Słucki — która jak proch na samopale wybucha, pozostawiając po sobie tylko swąd i kopeć!

— Względne to mości kniaziu! — odparł z naciskiem wojewoda — często się zdarza, że podsypka nie spali a wtedy zawód jest wielki. Dlatego też jako doświadczony w tych sprawach, radzę wam mości kniaziu pilną zwracać zawsze uwagę na podsypkę!

— Mości wojewodo! — zawołał książę Jan prostując się i bystro spoglądając na wojewodę, który szydersko się uśmiechał — jak mam rozumiéć wasze słowa?

— Pozostawiam to do waszej woli — odparł wojewoda, a skłoniwszy lekko głową, ruszył do następnej izby.

— Pyszałek! — mruknął książę Jan za odchodzącym, a zwracając się do Małgosi, która świeżo przybyłych gości witała dodał — wybacz waszmość panno, że stałem się może przyczyną chwilowej diskordyi, lecz krew nie woda, a wojewoda zanadto dufa sobie!

— Przyznam się szczerze waszej miłości — odparła Małgosia wdzięcznie się uśmiechając — żem nie zwróciła nawet uwagi na waszą rozmowę, obowiązek gospodyni jaki dziś na mnie ciąży niepozwolił mi jej słyszeć.

— Czyż tylko dziś obowiązek ten spełniacie? Bo i ja szczerym być chcę, przyznając, iż radbym zawsze być gościem waszym.

— Za wiele łaski miłościwy książe — odparła Małgosia. — Nie wiele byś na tem zyskał a ja mogłabym wiele stracić.

— Co do mnie — rzekł książę Jan zniżając głosu — zyskałbym wiele, bo mógłbym patrząc na waszmość pannę i zapomniéć o świecie całym!

— Gdybym nie wiedziała kto do mnie mówi — odparła Małgosia — gotowabym uwierzyć tym nadobnym słówkom, pomna jednak dostojności waszej uważać to muszę za uprzejmą krotofilę.

— Nie! mówię prawdę! — zawołał książę Jan— wasza nadobna postawa, szczerość malująca się w oczach waszych i wasz rozsądek ujęły mnie za serce tak, iż jeżeli łaska, zalecam wam me powolne służby i szczęśliwym mienić się będę, jeżeli mi waszmość panna pozwolisz częściej w te progi wstępować.

— Mości książę! — z godnością odparła Małgorzata — za uboga chata nasza i za podrzędne stanowisko rodzica mego, aby tak dostojny pan, mógł być godnie podejmowany. Ja zaś ani urodzeniem ani też nauką waszej miłości dorównać nie mogę! Nie mówmy więc o tem!

W chwili tej do izby poprzedzony przez Żędziana wszedł Piotr Jędrzej Czerny kasztelan Lubelski wraz z Markiem Sobieskim pod onczas jeszcze chorąży nadworny. Przybycie tych dwóch dostojników przerwało rozmowę księcia Jana z Małgosią, która powitawszy przybyłych wprowadziła do następnej izby w której ochocza młodzież radaby była rozpocząć co rychlej pląsy, lecz na takoweż nie pozwalała po niedawnej śmierci ukochanego króla w całym kraju istniejąca żałoba. Zabawiano się więc jedynie rozmowami o przyszłym sejmie i elekcyi wkrótce mającej nastąpić.

Gdy już całe grono biesiadników zaproszonych przez Żędziana było zebrane, wtedy na uprzejme wezwanie gospodarza, wszyscy zasiedli do obficie zastawionych stołów. Na pierwszym miejscu zasiadł wojewoda Lubelski, mając obok siebie Jana Siemiona księcia Słuckiego i Stanisława Górkę wojewodę Poznańskiego, dalej zaś przy głównym stole zasiedli Marek Sobieski, Jędrzej i Jan Zborowscy, Piotr Czerny, Aleksander książę Słucki, Stanisław Uchański, Stanisław z Łańcuła Stadnicki, Jan Stoiński, Prawdota Dzierżek, Stanisław Lichański, Klimuntowicz, Żurawski, Lubomelski, Dr. Felkiel, Klonowicz i wielu innych mieszczan i panów szlachty.

Małgosia wraz z ciotkami przechadzała się ciągle pomiędzy biesiadnikami zapraszając do spożywania darów Bożych, gdy tymczasem ojciec jej pilnował, aby szklanice napełniane wytrawnym węgrzynem nie próżnowały.

Korzystając z chwili w której kielichy coraz gęściej krążyć zaczęły, książę Jan Słucki niepostrzeżenie wstał od stołu biesiadniczego i zbliżył się do Małgosi, która właśnie pod tę chwilę w jednej z obocznych izb siedząc u kominka słodkim jakimś oddawała się marzeniom.

— Wybaczcie waszmość panno — rzekł książę Jan zbliżywszy się do Małgosi — że przerywam zadumę, lecz brak waszej obecności w izbie biesiadnej tak jak i brak słońca wśród zimowej nocy bardzo dał mi się uczuć.

— Są tam i inne słońca — odparła Małgosia lekko uśmiechając się — skryłam się też przed niemi by nie oślepnąć.

— Czyżby tym tak potężnie błyszczącym słońcem miał być wojewoda Poznański? — zapytał książę Jan.

— E! blask takiego słońca nie razi, przeciwnie mrozi wszystko — odrzekła Małgosia.

— Ha no! napróżno więc domyślam się — mówił wolno książę Jan, siadając na krześle stojącym przy kominku — jakie to w tym świetnym biesiadników gronie mogły by być słońca, przed blaskiem których skryliście się aż tutaj.

— I cóżby waszej miłości z tego przyszło? — odparła Małgosia śmiało patrząc w oczy księciu Janowi. — Nie w waszej też mocy byłoby blask ten odwrócić.

— Lecz może zdołałbym go umniejszyć—rzekł książę Jan — i sprawić, aby nie oślepiał, lecz ożywczym ciepłem rozgrzewał.

— Trud byłby to daremny, miłościwy kniaziu— odrzekła Małgosia z westchnieniem.

— I dlaczegóż tak mówicie? Czyż zapomnieliście o tem, że serce różnicy żadnej nie zna?

— Tak mówią, lecz wiem i to także, że Zygmunt August cierpiał całe życie, a ta która swój wzrok na niego podniosła, zamiast szczęścia, przedwczesną śmierć sobie zdobyła.

— Bo i król i żona jego Barbara pobrali się wbrew woli całego narodu.

— Jam posłuszna woli mego ojca — odparła Małgosia — on czci niewieściej nauczył mnie przestrzegać i szanować ród do którego należy.

— O! nie myślcie abym chciał w czemkolwiek wam ubliżyć. Wasz honor, wasza cześć, jest moim honorem i moją czcią. Wiem z kim mówię i gdzie jestem, lecz wiem, że was kocham...

Małgorzata z przerażeniem i dumą obrażonej godności spojrzała na księcia, który tknięty jej piorunującym wzrokiem zamilkł i cofając się przepuścił koło siebie nadobną dziewicę podążającą do izby biesiadniczej.

— O! dumna czarodziejko! — zawołał książę Jan. — Muszę zdobyć serce twoje i jako małżonkę wprowadzić w ściany ojców mojego domostwa. Panią matkę zgroza przejmie, bracia wyprą się mnie, ale Bożej woli nie sprzeciwię się, bo głos czuję w sercu mem i duszy.

Rumor uczyniony przez biesiadników w obocznej izbie, wyrwał księcia z zadumy i przypomniał mu gdzie się znajduje. Powstał z siedzenia kierując swe kroki ku biesiadniczemu stołu, przechodząc jednak przez drzwi osłonięte bogatą turecką makatą, spostrzegł że po za jej fałdami ktoś się kryje. Był to Michał Powała dworzanin księcia, młodzieniec dorodny, syn szlachcica osiadłego na małej wiosce w Oszmiańskiej ziemi.

(D. c. n.)

WYSTAWA KWIATÓW
na polach Elizejskich w Paryżu.

Przez

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

W dziale owoców, spostrzegamy winne krzewy, wyhodowane w cieplarni, pokryte już dojrzałym winogradem i całe grzędy ogromnych truskawek. Szparagi i inne warzywa, dochodzą bajecznych rozmiarów.

W kilka dni po otwarciu wystawy, byliśmy obecni na uroczystym akcie rozdania nagród i medalów, w sali teatru *Vaudeville*. Rozdawało je Towarzystwo aklimatacyjne, za przyswojenie różnego rodzaju zwierząt i roślin. Przed wymienieniem laureatów każdego działu przygrywała orkiestra marsz tryumfalny. Wśród innych posłyszeliśmy nazwisko p. Jana Dybowskiego, otrzymał ten zaszczyt za przyswojenie rośliny Japońskiej *Bardone* używanej na pokarm. Jest to ulepszony rodzaj salcyfii. Młody profesor, napisał niedawno o niej rozprawkę, skutkiem tego otrzymał listy z różnych miejsc a między innemi z Warszawy, z prośbą o udzielenie nasion. Sądzimy więc, że *bardone* wkrótce upowszechni się w kraju naszym.

W dwóch numerach Tygodnika Mód, zdawaliśmy sprawę z lekcyi ogrodnictwa pana Dybowskiego.

Obok teoryi, postawmy dziś praktyczne jej zastosowanie, opisując szczegółowo ogródek rodziców młodego profesora, wzorowo przez niego urządzony. Ogródek cały ma zaledwie 1,500 metrów kwadratowych rozmiaru, zobaczmy jednak co intelligencya, połączona z pracą i czujnem staraniem, może wyciągnąć z tak małego obszaru ziemi.

Część ogródka najbliższa domu składa się z trawniczka, gładkiego jak aksamitny kobierzec, poprzecinanego malowniczo, kląbami z kwiatów, kolejno po sobie następujących. W kwietniu kiedy zwiedzaliśmy ogródek, kwitły różnobarwne bratki, massy laków zaprawiały wonią powietrze, rozkwitłe krzaki bzu ocieniały obszerną altanę, zbudowaną na boku przy parkanie. Za tym działem, służącym do miłego spoczynku, idzie drugi, dział

owocowy, wyobraźmy sobie kwaterę długą na 15, szeroką na 10 metrów, na tej kwaterze sadzone są drzewka gruszkowe, podwójnym rzędem, mijając się, aby jedno drugiemu nie zasłaniało słońca, w odległości 50-ciu centimetrów jedno od drugiego. W każdej linii mieści się drzewek 25, podwójna więc linia liczy ich pięćdziesiąt. Idzie potem odstęp szerokości dwóch metrów, a za nim znów, podwójna linia drzewek. Powtarza się to cztery razy. Kwatera zatem cała, obejmuje dwieście karłowatych drzewek gruszkowych, i trzy pośrednie grzędy szerokości dwóch metrów. System ten uprawy gruszek, zaprowadzony jest od lat niewielu w głównym zakładzie miasta Paryża, nieupowszechniony dotąd w prywatnych ogródkach, pierwsze podobno znalazł zastosowanie w ogródku państwa Dybowskich. Młody profesor założył go przed laty sześciu. Przez ten czas ani jedno drzewko nie uschło, każde wydaje co rok obfity owoc. W ostatnich latach, liczba zebranych i to wyborowych gruszek doszła do 3,000! Gdyśmy widzieli drzewka, obsypane były białym kwiatem.

Do tej uprawy, biorą się drzewka szczepione nie na dzikich gruszkach, ale raczej na pigwach. Szczepienie lub oczkowanie robi się nizko, o kilka centimetrów nad ziemią. Drzewko kieruje się w jedną wybujałą latorośl, wzdłuż której zostawiać należy wszystkie drobne gałązki, przystrzygając je co rok na wiosnę i przyrywając krótko w ciągu lata.

Linie drzewek, skierowane są od wschodu do zachodu, tym sposobem południowe słońce przenika odstępy między niemi i oświeca wszystkie jednakowo.

Oprócz tych dwustu gruszek specyalnej uprawy jest jeszcze w ogródku do trzechset innych drzewek owocowych, zwróciły wśród nich uwagę naszą karłowate jabłonie, rozpięte na rabatach i tworzące nizki żywopłot, obleplony blado różowym kwiatem, z którego jesień wyda rumiane jabłka.

Wzdłuż parkanu opasującego ogródek, na małej pochyłości wystawionej na południe, ciągną się rzędem winogrodowe krzewy. Owoc z nich wystarcza sowicie na potrzebę domową.

Na przerwach między podwójnemi liniami gruszkowych drzew, zasadzone są krzaki malin, gdyby to miało później odbierać soki korzeniom drzewek, wypadałoby je usunąć i zastąpić jakiemś warzywem, nie wiele wymagającem światła, dotąd jednak maliny te wcale gruszkom nie zawadzają.

Ostatni dział, przeznaczony wyłącznie na warzywa i wszelkiego rodzaju ogrodowizny. Osobne grzędy poświęcone szparagom, inne karczochom, rzodkwi, sałacie i t. d.

Dział ten najmniejszy, paryzki targ, dostarcza bowiem tych przedmiotów za bardzo nizką cenę. Specyaliści, którzy oddają się tej gałęzi rolnictwa, dochodzą do zadziwiających rezultatów. Na tymże samym gruncie mają do siedmiu zbiorów na rok. Nie wynika to z rodzaju gleby, gdyż ta w Paryżu i jego okolicach, nie zaleca się nadzwyczajną żyznością, głównie zaś wpływa na to, woda, szkło, nawóz, a przedewszystkiem niezmordowana praca przedsiebierców. W samym Paryżu istnieją małe ogródki, których właściciele wysyłają sałatę do Londynu.

Zakończamy szczerem życzeniem, aby ten opis wzorowego ogródka państwa Dybowskich, zachęcił niejedną z czytelniczek naszych, zamieszkałych w mieście, do urządzenia sobie podobnego. Nie ma według nas milszego zajęcia nad ogrodnictwo, korzyści z niego nieobliczone. Praca fizyczna na wolnem powietrzu, dzielnym jest środkiem hygienicznym i wybornie zastępuje tak zalecane dziś gimnastyczne ćwiczenia. Co więcej, zamiłowanie w ogrodzie, jak słusznie rzekł profesor Dybowski w jednej lekcyi, ma tę dodatnią stronę, że nas przywiązuje do domu. Kto posiewa ten zbierze niewątpliwie, jeśli jeden rok odmówi plonu, drugi odpłaci to w dwójnasób. Ziemia dobra to matka, ona nie zawiedzie nigdy tych, którzy ją uprawiają z miłością i wytrwaniem, a nad ziemią choćby najuboższę, nie brak nigdy słońca i rosy!

Przegląd Teatralny.

Nowe godło, komedya Wiktoryna Sardou, w 5-ciu aktach, z francuzkiego tłomaczona.

Ostatnią sztuką przez Teatr Letni w Ogrodzie Saskim wystawioną, jest komedya W. Sardou, nosząca tytuł „Nowe godło” (Maison neuve). Autor takich komedyi jak „Safanduły” (Les Ganaches) i „Nasi najserdeczniejsi” (Nos intimes), zbyt jest znany i zasłużony, aby mówić o nim. Zdobył on wziętość i rozgłos wszechświatowy nie tylko prawdziwym talentem z jakim przedstawia wybornie schwycone typy, zręcznością która w budowie sztuki i przeprowadzeniu akcyi widzieć się daje, lecz bardziej jeszcze zacną tendencyą wszystkich utworów swoich. Celem komedyi o której mowa, jest przedstawienie różnicy między dwoma sposobami prowadzenia handlu i skutków jakie ztąd wynikają. W pierwszym akcie widzimy kupca starej daty p. Genevoix, właściciela hurtowego składu wstążek i wyrobów jedwabnych, w jednej ze starych dzielnic Paryża, który od kilku pokoleń istniejący handel prowadzi sumiennie i uczciwie, a pracą i rozumną oszczędnością dorabia się powoli znacznego mienia. Interes na prawości i uczciwości oparty wzrasta z dniem każdym. Całe otoczenie odpowiada jego zasadom. Dom zamożny, dostatni, lecz w stare i niewykwintne przybrany sprzęty, a słudzy i pomocnicy jego, którzy wraz z nim w pracy posiwieli, tworzą jakby jedną rodzinę wzajemnym szacunkiem silnie związaną. Do niej należą jeszcze jedyni spadkobiercy starego Genevoix, dzieci jego brata, sieroty starannie przez niego wychowane, Réné i Gabryella.

Réné, zgrabny i elegancki młody człowiek, wraz z ładną swą żoną, wychowaną w jednym z pierwszych pensyonów stolicy, przedstawiają obecną epokę, nudzą się w starym domu, wyśmiewają stary handel i sklep w którym nie ma nic błyskotliwego, nic coby za oczy chwytało, pragną żyć w eleganckim świecie i używać majątku, który stryj im do rąk już oddał. Nie mogąc nakłonić starego Genevoix do przeniesienia się w modne dzielnice miasta, na bulwary; urządzenia sklepu na sposób teraźniejszy i zamienienia śmiesznej w ich oczach firmy „Pod starą kokardą” na bardziej efektową „Pod złotym węzłem”, cichaczem stary dom opuszczają i na własną rękę zakładają handel, urządzają pyszny sklep w którym wszystko błyszczy się i świeci, zawiązują liczne światowe stosunki i przyjmują różnorodne towarzystwo w zbytkownie przybranych apartamentach. Wszystko tu obliczone na efekt, podstawą blaga i reklama, a w gruncie blichtr i fałsz tylko. Stary stryj widzi to, upomina i przepowiada prędką ruinę, ale się nie domyśla, że krom majątku, lekkomyślne dzieci wieku cześć swą i honor w niej zatracą. Réné bowiem, tęskni za męzką swobodą, mebluje apartament i płaci długi jakiejś tancerki, a ładna żona jego, Klara, porwana wirem zabaw i próżności, chcąc dorównać damom swego otoczenia, koketeryą swoją upoważnia niejako młodego lwa salonowego, hrabiego de Marsille, sąsiada z którym nawet wspólny balkon mają, do starania się o jej względy. Kassa nie może wystarczyć na zbytkowe obojgu wydatki. Réné ucieka się w gry giełdowe. Podczas świetnego balu u nich, bomba pęka. Réné otrzymuje wiadomość o nagłym upadku papierów, który mu znaczną zabiera summę, kassyer którego zaletą znakomite prowadzenie kotyliona, ucieka zabrawszy pieniądze przeznaczone na zapłacenie wekslów w dniu jutrzejszym, intryga z tancerką na jaw wychodzi.

Wobec klęski przyjaciele się rozpraszają a Klara zrozpaczona głowę traci, chce zemścić się za niewiarę męża i przyjmuje myśl natychmiastowej ucieczki, podaną przez hrabiego.

De Marsille wezwany bilecikiem wchodzi do jej sypialni, pijany nieco i bardzo natarczywy. Na ten wstrętny widok oczy Klarze się otwierają, widzi przepaść w którą omal nie wpadła, błaga go aby odszedł i oddał jej kompromitujący bilecik. Ale hrabia winem zagrzany, ani chce słyszeć o tem. Do ostatecznej rozpaczy doprowadzona, chwyta się jedynego środka jaki ma pod ręką. Sądząc że go uśpi, upewnia, że kilka kropli opium rozproszy skutki wina, hrabia nie zupełnie przytomny chwyta flaszeczkę i całą wypija. Pada nieżywy. Biedna kobieta wobec trupa dostaje prawie obłędu, usiłuje wyrwać mu swój bilecik z zaciśniętej ręki, ale napróżno. Wtem mąż dobija się do drzwi wraz z komisarzem policyi, żądającym aby podpisała protokuł o ucieczce kasyera i summie jaką im zabrał.

Zasuwa trupa kanapką, bezwiednie coś podpisuje, ale mąż ruiną swoją przybity i zaspany komisarz nie widzą jej pomieszania i spiesznie wychodzą. Nieszczęśliwa kobieta sama jedna z trupem pozostaje. Na tem kończy się akt IV niezmiernie dramatyczny i efektowny. Akt V odbywa się w mieszkaniu starago Genevoix, do którego jedno po drugim przybywają, zrozpaczony Réné i Klara prawie obłąkana, bo przekonana o śmierci Marsillego, którego z nadludzkim wysiłkiem zdołała wyciągnąć na jego balkon i tem że znajdą w jego ręku tak bardzo kompromitujący ją bilecik. Wszystko się jednak dobrze kończy. Marsilli chwilowo tylko odurzony, został odratowany i zniszczył bilecik, a stary stryj, młodziutka siostra Gabryella i wszyscy starzy komisanci domu w jednej chwili składają znaczną summę potrzebną na zapłacenie zobowiązań Rénégo. Majątek zginął, lecz honor ocalony, a ciężka nauka w las nie pójdzie i młodzi małżonkowie „Pod starą kokardą” będą w uczciwej pracy znowu lepszego dorabiać się bytu.

Sztuka wystawiona z wielką starannością, dobrze też była i graną. Palma pierwszeństwa należy się pannie Marczello, prawda i to, że żadna z ról tej komedyi nie przedstawia tak wdzięcznego i obszernego pola, lecz za to w akcie IV i V jest jedną z najtrudniejszych. Wypadki tak szybko po sobie następują, tak są różnorodne, niezwykłe i przerażające, że aby przedstawić sobie kobietę w takiem położeniu, jej mowę wówczas i ruchy, potrzeba nie tylko prawdziwego talentu, ale nawet rodzaju intuicyi, a odtworzyć na scenie z możliwą prawdą, porwać jej siłą i zadowolnić najwybredniejszych widzów, może być tylko dziełem wysokiego artyzmu i ogromnej pracy. Panna Mar-

czello doskonale rolę tę pojęła i wykonała ją wybornie, tak że Klara pozostanie cennym klejnotem jej repertuaru, dowodem talentu i wysokiego artystycznego uzdolnienia. Ale jeśli chwalemy gdy słuszność nam każe, niechże nam wolno będzie i parę drobnych uwag uczynić: oto w akcie I, sądzimy iż w rozmowie z Teodozyą, o nudach jakich doświadcza, Klara powinnaby mówić z większą żywością i pewnem oburzeniem, ażeby już na wstępie zaznaczyć charakter niecierpliwy, nawet gwałtowny nieco, gdyż tylko kobieta takiego charakteru może postanowić natychmiastową ucieczkę i to przez zemstę, z człowiekiem którego nawet nie kocha; jak przedtem, namówić męża do opuszczenia domu dobroczyńcy stryja, a nie jest to jednak kobieta zła lub zepsuta, lecz tylko niecierpliwa i nieco gwałtowna. Z tego powodu należałoby mówiąc do stryja w akcie I, być trochę szorstką i sarkastyczną, bo on w jej oczach jest przyczyną tych nudów i jakby klasztornego życia. Tym sposobem będzie to charakter konsekwentny, z psychiczną prawdą w zgodzie. Także w akcie IV, gdy z ręki trupa usiłuje wydrzéć swój bilecik, powinna uczynić to gwałtownie i jakby w obłąkaniu, tyle bowiem i tak strasznych uczuć miota nią w tej chwili, że inaczej chybaby była zakamieniałą zbrodniarką, co nie jest wszakże.

Role innych artystów, nie tak są wdzięczne, jednakże p. Tatarkiewicz jako salonowy uwodziciel, był elegancki, dystyngowany, wyborny. P. Rapacki staranną i zawsze doskonale obmyślaną grą swoja przykuwał uwagę widzów i zasłużone zbierał oklaski w roli starego Genevoix. P. Ładnowski jako Réné był zupełnie dobry, a panna Jerzynówna wdzięczną i sympatyczną w małej roli młodziutkiej Gabryeli. Nawet mniejsze role starannie grane, w których zwłaszcza wyróżniał się pan Chomiński, uzupełniały wyborną całość sztuki, która budziła wielkie zajęcie i bardzo publiczności się podobała.

Hieronim Kuczalski.

Do dziewczęcia.

Tyś milczące, tyś tak ciche,
A tak cudna, dziewczę me!
Sądzić możnaby, że w głębi,
Twojej, wszystko, wszystko w śnie!

W oczy twe, tak spojrzéć trudno,
Zimna, piękna główka twa;
Ty byś chciała, by myślano,
Że w niej, ciągły spokój trwa.

Ja nie przeczę, że są tacy,
Co uwierzą chętnie ci,
Co gotowi ubolewać,
Że nie zaznasz, słodkich dni.

Lecz w źrenicach, dziewczę, twoich,
Jest coś, co wciąż szepcze mi:
Że udany jest twój spokój,
Że w twej duszy wulkan tli!

Wulkan uczuć, takiej mocy,
Że, o piękna, strzedz, chciej się,
By on, w chwili, gdy wybuchnie,
Całej, nie pochłonął cię!

Władysław Buchner.

PISOWNIA POLSKA
I KWESTYA JEJ REFORMY,

przez

L. Szczerbowicza-Wieczora.

Zmienność i niestałość wszystkich wogóle rzeczy ludzkich, jest także udziałem pisowni każdego języka. Mianowicie w językach, nieposiadających jak sanskryt lub arabski, swego własnego abecadła, lecz używających alfabetu łacińskiego, pisownia ulega ciągłym mniej lub więcej rdzennym przemianom. Oprócz bowiem tej przyczyny, że alfabet łaciński okazuje się niewystarczającym do oddania rozmaitych brzmień, których nie było w łacinie, ani w języku Fenicyan, od których pierwotnie pochodzi nasze abecadło, na zmienność pisowni wpływają rozmaite inne przyczyny, jako to: rozwój i ogłada samego języka, postęp jego na drodze harmonijności, dalej wymagania uproszczeń, wreszcie zastosowanie do pisowni najnowszych wyników badań gramatycznych i zmiany w zakończeniach i formach, którym język żyjący z postępem czasu ulega.

Wszystkie te okoliczności są niezmiernie ważne i skomplikowane, a pogodzenie ich w pisowni doskonałej i czyniącej zadość wszystkim wymaganiom jest zadaniem o tyleż trudnem co kwadratura koła lub wynalezienie koła filozoficznego. O wszystkich tych przyczynach i względach możnaby rozprawiać bardzo obszernie, tu jednak poprzestanę na kilku takich uwagach, mających bezpośredni związek z kwestyą obecnego stanu pisowni polskiej i jej zamierzonej, a rzekomo konieczności reformy.

Wiadomo, że przyjęty przez Rzymian od Etrusków alfabet fenicki nie był wystarczającym już nawet dla języka łacińskiego, jak to widać np. z chwiejności w oddaniu dwugłoski *ae*, którą jeszcze u Lukrecyusza i Wergiliusza znajdujemy w postaci *ai* albo z rozmaitego wymawiania litery *c* przed twardemi i przed miękkiemi samogłoskami. Zastosowany do języków słowiańskich zachodnich, alfabet łaciński okazał się niedostatecznym dla oddania brzmień nosowych, syczących i podniebiennych (ą, ę, sz, ż, cz), a także brzmień miękkich jak *ć, ś, ń.* Wypadło więc uciekać się do rozmaitych kresek, dodatków i połączeń, a te wszystkie sposoby ustaliły się nie od razu, lecz stopniowo, przechodząc rozmaite koleje i mają swoję historyą.

Tak w dawnej ortografii polskiej *cz* brzmiało jak c, *sz* jak *s* (podobnie jak dziś jeszcze w pisowni węgierskiej), brzmienie zaś *sz* oddawano przez *ss.* Wyrazy Jakuba z Żórawicy, który w wieku XV pierwszy zajął się uporządkowaniem pisowni polskiej, aż do dni naszych, pisownia polska ulegała rozmaitym zmianom, zanim została ustaloną przez wnioski deputacyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk w 1830 r. w tej postaci, w jakiej dziś powszechnie jest używaną.

Liczne i rdzenne zmiany, przez deputacyą i celniejszych pisarzy spółczesnych wprowadzone, ustaliły się ostatecznie, a jak wielkie były te zmiany dość przypomnieć, że przed 60 laty litera *j* (właściwie przez Aloizego Felińskiego wprowadzona) w abecadle naszem nie istniała zupełnie, a spójnik *i* do końca wieku zeszłego pisano stale *y.* Zniknęła też całkiem różnica *á* od *a* otwartego, dawniej przestrzegana ściśle, gdyż wyróżnienie to zniknęło też i w wymawianiu, z wyjątkiem mowy ludowej. Zarzucono *x* łacińskie (już za radą Kopczyńskiego), zaniechano podwajania spółgłosek w wyrazach cudzoziemskich jak np. *professor, affront* i t. d.

Tak przeszły dwie generacye piszących i jakoś dobrze nam było z naszą pisownią; radzi byliśmy przynajmniej, że mając tyle innego do roboty, uporaliśmy się jakoś ze sprawą pisowni. Nie na wieki wieków — to pewna, gdyż z powodu wymienionej wyżej zmienności samego języka żyjącego, niewątpliwie pisownią naszą oczekują w przyszłości jeszcze znaczne zmiany, ale zachodzi kwestya, czy już teraz po latach zaledwie pięćdziesięciu, zachodzi potrzeba zmian radykalnych i czy istotnie już dziś nasza pisownia przedstawia taki *chaos*, jak wołają ci, którym pilno rwać się do naprawy tego chaosu? Niedostateczności i braków obecnej pisowni naszej ukrywać nie będziemy, jest ona i będzie zawsze niedostateczną, już dla wymienionej wyżej niedostateczności alfabetu łacińskiego. Gdybyśmy więc koniecznie pragnęli jakiejś wymarzonej doskonałości pod tym względem, to chyba musiałby jakiś mąż genialny wymyślić osobny alfabet polski, albo przynajmniej zmienić i uzupełnić dotychczasowy w sposób zupełnie odpowiedni, wszystkim wymaganiom zadość czyniący i mogący być powszechnie przyjętym. Ale gdyby nawet taki geniusz, przewyższający bajecznego pół bożka Tota, który miał wynaleźć alfabet fenicki, zjawił się śród naszego plemienia, to i tak jeszcze radykalna owa reforma nie byłaby pożądaną, ani praktyczną, ze względów, o których wnet poniżej wspomnę. Tymczasem nie brakło nam nigdy i dziś jeszcze nie brakuje przyganiaczy i cząstkowych reformatorów: jedni, jak ś. p. ks. Malinowski, wymyślają nowe cudaczne litery, inni zalecają nam przyjęcie cyrylicy, zapominając, że cyrylica jest to ten sam, nieco zmienny, alfabet fenicko-grecko-łaciński, a późniejsze dodatki, wyrażające jedną literę częstokroć, dwa brzmienia (ja, ju, szcz) bynajmniej za postępowe uważanemi być nie mogą); inni nakoniec, których próżności uśmiecha się sława reformatorów, wprowadzają swoje widzimi się i cząstkowe zmiany w pisowni dotychczasowej, które to zmiany są właśnie bezpośrednio przyczyną zamętu i rzekomego „chaosu" w pisowni, przez samych nowatorów opłakiwanego.

Trzy są główne względy, z któremi dzisiejsza ortografia polska musi rachować się i rachuje się w rzeczywistości. Pierwszym jest wzgląd *fonetyczny*, to jest zbliżenie pisowni, o ile możności, do wymawiania. Mówimy *o ile możności*, gdyż zupełne przeprowadzenie zasady „jak się mówi tak się pisze" jest niemożliwe, jak z powodu niedostateczności alfabetu łacińskiego, tak i z dwóch dalszych względów, które powyższą zasadę czynią niepraktyczną.

Drugim bowiem jest wzgląd *etymologiczny*, który wymaga czasem pisowni, zgodnej z pochodzeniem wyrazów i ich odmianami, chociaż wymawia-

nie nakazywało użyć innych liter. Tak piszemy *rozkaz, rzeka, Chodźko, krówka* i t. d. chociaż te wyrazy brzmią w wymawianiu: *roskas, żeka, Choćko, krufka* i t. d. Trzecim nakoniec jest wzgląd *historyczny*, to jest wzgląd na cały nieprzerwany rozwój dziejów pisowni naszej, na tradycyą i wzory, na ortografią całej literatury polskiej. Tu także należy, oczywiście i to co nazywamy *utartym zwyczajem, powszechnie przyjętą zgodą*, która ustanowiła pewne normy w literaturze książkowej, w dziennikarstwie, w szkole i życiu potocznem. W tym trzecim czynniku jednoczą się, zlewają i godzą dwa pierwsze w sposób jeżeli nie wieczny, nieodmienny, i idealnie doskonały, to jednak w danym okresie najlepszy możliwy, czyniący zadość potrzebom słowa pisanego i na długo wystarczający.

Z tego co powiedziałem, wynika, że gdyby potrzeba było dać odpowiedź na trudne pytanie, który z powyższych trzech względów jest najważniejszym, to wypadłoby chyba oddać pierwszeństwo ostatniemu—urobionemu historycznie i przyjętemu sposobowi pisania, którego ani burzyć, ani rdzennie przerabiać niepodobna bez wprowadzenia najopłakańszego zamętu w piśmiennictwie, w życiu potocznem i w szkole. Uśmiechający się burzycielskim reformatorom taki przewrot zupełny doprowadziłby prawie do upadku języka, a przynajmniej słowa pisanego, do ugruntowania nieuctwa, dowolności i wszelkich kapryśnych wybryków indywidualnej niesforności, a u nas o to wszystko nietrudno i wypadałoby raczej wszelkiemi siłami podtrzymywać zgodę ogólną, jaka jest, niźli ją zakłócać i wprowadzać rozprzężenie. Dobiliśmy się bowiem w pisowni jakiej takiej zgody powszechnej na ortografią deputacyi z 1830 roku i najrozsądniej byłoby trzymać się tej zgodności jak można najdłużej. Zmiana pisowni to nie zmiana formatu gazet lub koloru mundurów, ażeby ją można było dowolnie i bez wielkiej szkody umysłowej zaprowadzić, tu właśnie najpotrzebniejszym, zwłaszcza w obecnych czasach, byłby rozumny, a nawet *uparty konserwatyzm*. Długo tego dowodzić nie mogę, a dla wielu z czytelników nie potrzebuję, chociaż wiem, że z drugiej strony, zaciekli w zapale *teoretycznych* reform *pozytywni* nowatorowie, zwłaszcza ci, których łechce najsilniejsza i trudna dla nich do zwalczenia pobudka osobistej próżności, jako inicyatorów i reformatorów, że ci powiadam, nie zwrócą uwagi na moje słowa i że dla ich uszu głos mój będzie głosem wołającego na puszczy.

Zresztą przypatrzmy się pisowni narodów, które podobno niemniej od nas o postęp i o swój język dbają, a które my jakoś raptem w galopującym (na papierze) pozytywnym postępie prześcignąć chcemy.

(D. c. n.)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Angielski dziennik „Standart" podaje, iż obecnie w świecie lekarskim wielkie wywarła wrażenie wiadomość o wynalezieniu niezawodnego środka przeciw wściekliźnie. Oto ustęp z tego dziennika. „W ostatnich czasach, p. Bruley, członek francuzkiej Akademii nauk, złożył tejże sprawozdanie o wyleczeniu z wścieklizny jedynie przez użycie czosnku. Z początku nie przywiązywano wielkiej wagi do tego odkrycia, jednakże niektórzy doktorzy użyli wzmiankowanego środka i przekonali się o jego skuteczności. Pewien doktor portugalski zawiadomił, iż kilka osób uchronił od wodowstrętu, zastosowaniem środka doktora Bruley. Metoda doktora Bruley jest następująca. „Należy ranę dobrze wymyć wodą z czosnkiem, a następnie wycierać mocno tartym czosnkiem. Oprócz tego pacyent powinien przez dni 8 do 10 pić po kilka razy na dzień wodę z czosnkiem i długi czas jadać potrawy zaprawiane czosnkiem."

*** W lasach położonych przy ujściu rzeki la Plata i na niezmierzonych płaszczyznach ciągnących się na południu Buenos-Ayres, zapaleni myśliwi mogą rozkoszować się niezwykłemi polowaniami z powodu rozmaitych spotykających ich wydarzeń, oraz mieć sposobność studyowania *gauchosów*, tych synów sawan amerykańskich, walczących między sobą o przewagę zręczności i wytrwałości. Nader zajmującem jest polowanie na dwa rodzaje strusi amerykańskich, zwanych przez krajowców *tuju* i *nadu*. Tuju jest prawie tak wielki jak struś afrykański; jest to największy z ptaków Południowej Ameryki. Wysokość jego dochodzi często sześciu stóp, szyję ma długą, głowę małą, dziób spłaszczony. Chcąc je schwytać, Gauchosi nie cofają się przed najwięcej utrudzającą pogonią.

Za broń do tego polowania używają trzech gałązek oszytych w skórę, przytwierdzonych do końca długiego sznura. Pędząc galopem gauchos wywija sznurem nad głową i w sposobnej chwili zarzuca go w nogi ptaka, który zwykle pada zabity. Jest to polowanie nadzwyczaj trudne, z powodu, że tuju biegnie nadzwyczaj prędko różne zakreślając gzygzaki i podnosząc co chwila to jedno to drugie skrzydło, aby zmienić kierunek biegu. I z tych ptaków upolowanych z takim trudem, zachowują zazwyczaj tylko pióra ze skrzydeł i z piersi, służące do wyrabiania dywanów, rzucając resztę na pastwę stepowych sępów.

Złapane młodo, ptaki te oswajają się z łatwością, do tego stopnia, że jak psy chodzą za ludźmi.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Pani H. S. w Lipowcu. Suknia grenadinowa czarna z trenem, strojna, na materyalnej spódnicy kosztować będzie rs. 60. Najlepiej aby mógł być przysłany na miarę, stanik dobrze leżący. Jezeli pieniądze i miara nadesłane będą zaraz po otrzymaniu odpowiedzi, to suknia może być gotową na 15 sierpnia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 13 Іюля 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 30, r. 1883.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

Krystyna bardzo pokochała Rajmundę, zaraz od chwili gdy dowiedziała się o jej miłości dla Jana, i przyrzekła sobie uroczyście gorąco pracować dla zapewnienia jej szczęścia. Dla kobiety uczciwej, świętą jest każda uczciwie kochająca kobieta; postanowiła też sobie zrobić z Rajmundy *ideał doskonałości*, nie drażniąc jej, nie smucąc i nie upokarzając niezręcznem przyganianiem. Nie było to zadanie zbyt trudne, ale dłuższego wymagało czasu. W tym celu wysłała Jana do Stanów Zjednoczonych, spodziewając się że wpłynie to także zbawiennie na zmianę jego pojęć i charakteru, a Rajmundę znów zaprosiła do swego domu, obchodząc się z nią jakby ze starszą siostrą swej córki.

Jakże zajmującą jest ta edukacya kobiety przez kobietę, przykład i rady dawane tkliwemu sercu, przez istotę prawą, szlachetną i rozumną! Takiem było zadanie hrabiny de Chazé, przez kilka miesięcy następujących po wyjeździe młodego margrabiego de Lizardière.

Wychowana pod okiem zacnego ojca, ale pozbawiona błogiego wpływu i kierunku matki, nawykła do pochlebstwa i hołdów składanych jej piękności i milionom, uważała je za przynależną jej daninę, samowolna i bezwiedną może przejęta pychą, Rajmunda w charakterze i pojęciach miała coś nieokreślonego, dziwnego i fantastycznego zarazem. Była dzikim wytworem cywilizacyi, zarówno jak Jan dzikim wytworem samotności.

W nowym tak blizkim stosunku z hrabiną, Rajmunda znalazła się jakby przeniesioną nagle do jakiegoś całkiem nieznanego sobie kraju. Ta nieustanna prostota, punktualność w wypełnianiu bez najmniejszych wysileń wszelkich obowiązków życia, dziwiły ją niepomiernie, były to dla niej jakby pierwsze lekcye zupełnie nieznanego sobie języka. Szczególniej zadziwiał ją hrabia de Chazé. Sądząc z przeczytanych powieści i teatrów oraz tej *arystokratyczności od parady* jaką widywała w niektórych salonach paryzkich, wyrobiła sobie najfałszywsze pojęcie o prawdziwej arystokracyi. Wyobrażała sobie że szlachcic musi być koniecznie pyszałkiem przejętym znakomitością swego rodu, pogardzającym wszystkimi których nazwiska nie są zapisane w rocznikach wojen krzyżowych, dla którego historya kończy się z rokiem 1789, pomiatającym mieszczaństwem jako motłochem.

Tymczasem hrabia przedstawił jej się jako namiętny myśliwy, bez najmniejszej pychy i buty; nigdy nie mówił o swoich przodkach, był wesoły, przystępny, dobry sąsiad, wprawdzie jako mer krótko trzymał podwładnych, ale czynił to raczej jako przywykły do posłuszeństwa i surowej karności pułkownik, a nie jako szlachcic i hrabia.

Odkrycie to bardzo ucieszyło pannę Rajmundę i niezadługo nic ją tak nie bawiło jak słuchać hrabiego, gdy silnym i pięknym swoim głosem zaczynał śpiewać ulubioną swoją myśliwską piosenkę:

Wenus pić nam zabrania,
Bachus śpiewać zakazuje...

Gdy nadchodziła strofka nieco drażliwa, hrabina śmiejąc się przerywała śpiew, a Rajmunda śmiała się także wesoło.

Hrabia z swej strony bardzo ją polubił; trochę może z powodu jej piękności, gdyż w lat sześdziesiąt piękna twarzyczka silniejszy może niż we dwadzieścia wpływ wywiera, ale najwięcej dla tego, że podobał mu się jej charakter otwarty i nieco oryginalny. A zresztą pomimo że niby nie zwracał na nic uwagi, był nadzwyczaj przenikliwy i domyślny, i zadziwiał nie raz bystrością i trafnością swoich zdań i sądów.

Tak było i tym razem. Gdy pewnego dnia Rajmunda wyszła z pokoju, hrabia rzekł do żony.

— Tak więc kochana Krystyno, postanowiłaś sobie ożenić Jana z panną Désormes.

— Ach! odgadłeś to, Leopoldzie.

— Ja zawsze odgaduję, co mi wiedzieć potrzeba.

— I cóż myślisz o tym moim projekcie?

— Że jest godnym ciebie i bardzo właściwym.

Upoważniona przez kompetentną władzę, Krystyna pracowała gorliwie nad urzeczywistnieniem swoich zamiarów. Codziennie długie godziny spędzała z Rajmundą. Gdy czas był piękny obie z Marylką zapuszczały się w wązkie boczne drożyny, chodząc od fermy do fermy dla odwiedzania chorych i biednych. Rajmunda była miłosierną, ale było to że tak powiem *miłosierdzie urzędowe*; tak w Paryżu jak Turenii posyłała co rok dość znaczną sumę do komitetu dobroczynności i proboszczowi swej parafii.

Tak uczyniwszy zadość sumieniu, nie myślała więcej o tem.

Krystyna inaczej pojmowała miłosierdzie; nie dość, mówiła być jałmużniczką, trzeba także być infirmerką. Urządziła sobie w pałacu apteczkę dla użytku biednych chorych, bo choć nie była *doktorką*, znała się jednak dostatecznie na medycynie praktycznej i obznajmiała z nią Rajmundę. Bardzo zręczna i pojętna, uczenica przeszła wkrótce nauczycielkę. Ilekroć dziewczyna jaka spadła z drzewa zbierając orzechy lub kasztany, i wywichnęła czy złamała rękę lub nogę, umiała doskonale nastawić ją lub ująć w łupki i obandażować mocno bandażami. Zadawalniało to nawet jej miłość własną, w tym razie wcale nie naganną, boć większa to była zasługa i piękniejsze zadanie, niż zawracanie głów szambelanom cesarskim i złotej młodzieży.

Spełnianie uczynków miłosiernych nietylko uszczęśliwia innych, ale i nam daje radość i wewnętrzne zadowolnienie; niejednokrotnie gdy infermerki nasze wróciły z dalekich wycieczek podczas deszczu i burzy, jakże swobodne i wesołe zasiadały do wieczerzy, zrzuciwszy przemokłą odzież! Z jakiem zajęciem rozmawiały o chorobie starej matki Martin i powrocie do zdrowia ojca Fuignard. Zajęte tym przedmiotem zapominały nieraz przeczytać gazety.

Rajmunda miała swoich uprzywilejowanych chorych; do nich zaliczał się niejaki Jan Chalonnais, chłopak piętnastoletni, który złamał rękę, chcąc schwytać zbiegłego buhaja. Doglądała go z taką troskliwością i dobrocią, iż wyzdrowiawszy chłopak rzekł jej ze łzami w oczach:

Ach! panienko, tak dobrą byłaś dla mnie, że doprawdy kocham cię jak własną kuzynkę!

Rajmunda nie poprzestała na wyleczeniu Jana Challonais. Był to chłopiec bardzo zdolny i pilny, skończył szkołę wiejską, umieściła go w wyższej szkole w Saumur, i zapewniła ojcu jego fundusz na opłacenie jego nauki. Zdawszy po ukończeniu nauk świetnie egzamin, udał się do Paryża, skończył wydział prawny i został bardzo wziętym adwokatem.

Obecnie, dzięki Krystynie jakże Rajmunda wzniosła się wyżej po nad wyżwspomniane miłosierdzie urzędowe, które dawniej, jak wiele innych, i ją zadawalniało najzupełniej. Ale obok tej z innej jeszcze wady poprawić ją należało.

Religijność jej była także urzędową tylko. Nie zaniedbywała przepisanych obowiązków; będąc w Paryżu za nic w świecie nie opuściłaby modnej Mszy o godzinie pierwszej w kościele Św. Magdaleny; a gdy kazania sławnego kaznodziei ściągały tłumy do kościoła N. Panny, miała tam jedno z najwidoczniejszych miejsc i przychodziła strojna w toalety wykończane u Worth'a, które niejednokrotnie opisywano w *Figaro*.

Jakże to inaczej Krystyna pojmowała religię i jej obowiązki. Zamiast jednak rozprawiać o tem ze swoją młodą przyjaciółką, wolała uczyć ją przy kładem.

W niedzielę zjeżdżały do kościoła kilka rodzin z poblizkich pałaców; w pierwszym zaraz tygodniu Rajmunda przywdziała nadzwyczaj świetną toaletę, hrabina włożyła skromną suknię wełnianą, gustowną, ale wcale nie kosztowną, i równie skromnie ubrała córkę. Nadzwyczaj strojna toaleta Rajmundy zwracała na nią uwagę przybyłych pań i nie zbyt budujące spojrzenia młodzieży, co zamiast pochlebiać żenowało ją bardzo. Na domiar kłopotu, wychodząc z kościoła, Krystyna rzekła jej tylko:

— Muszę chyba zmienić zwykłą do kościoła moją i Marylki toaletę, bo obok twojej tak świetnej wyglądamy bardzo zaniedbane.

Następnej niedzieli, miała na sobie suknię z Surah, którą w ciągu tygodnia kazała zrobić pannie służącej.

Hrabina zauważyła że Rajmunda dość lubiła powtarzać plotki i obmowy. Wtajemniczona w kroniki salonów — o ile to było możebnem dla panny dobrze wychowanej — potępiała głośno i surowo błędy innych kobiet, bez względu czy były udowodnione, lub nie. Dawało jej to sposobność popisywania się ze swym ostrym i złośliwym dowcipem. Gdy pewnego dnia zaczęła mówić w podobny sposób o jednej ze znajomych pań hrabina rzekła do niej:

— A! byłabym zapomniała że mam cię prosić o jedną małą przysługę. Ponieważ ojciec twój powierzył cię mojej opiece, bądź tak dobra i pojedź ze mną we czwartek do Tours, na wieczór jaki wydaje jenerał dywizyi. Mam tam spełnić nader trudny i drażliwy obowiązek, dopomożesz mi w tem bohaterskiem zadaniu.

— Salon jenerała dobrze właśnie się nadaje do bohaterskich czynów, odrzekła z uśmiechem Rajmunda.

— Doprawdy nie żartuję że obowiązek ten wymaga prawie bohaterstwa.

— Zaciekawia mnie pani niewymownie.

— Powiem ci o co chodzi. Mówiono ci zapewnie o pani Ludwice Nystem, mieszkającej w Tours?

— A któż o niej nie słyszał! Pani Nystem i ów kapitan huzarów była w roku przeszłem przedmiotem ogólnych pogadanek.

— A jednak była to najniecniejsza potwarz, jak niedawno najdowodniej przekonałam się o tem. Zawiniłam bardzo żem wierzyła i nie starałam się przeszkadzać rozszerzeniu tej potwarzy. Ludwika jest moją przyjaciółką od lat dziecinnych, skutkiem mniej więcej mimowolnego uczucia nakazującego nam unikać osób osławionych, byłam dla niej, surowszą niż dla innych i przestałam się z nią widywać. Wiesz że cieszę się w naszej okolicy pewną powagą i wpływem, otóż gdy dowiedziano się że nie bywam u pani Nystem, przestano ją odwiedzać i zapraszać do siebie. Tak więc dopuściłam się nikczemności równie nagannej w kobiecie jak w mężczyźnie — i sumienie nakazuje mi naprawić wyrządzoną krzywdę, gdyż nie jest bynajmniej dostatecznem wyznanie podobnych win przed spowiednikiem. Otóż w tym celu napiszę do jenerałowej że chcę jej przedstawić moją dawną i dobrą przyjaciółkę, a do Ludwiki że wstąpię po nią i zabiorę z sobą na bal. Tam będąc wypowiem głośno co zastosowne uznam.

— Rzeczywiście podejmuje pani bohaterskie zadanie, i doprawdy podziwiam ją i uwielbiam.

— Nie zasługuję bynajmniej ani na podziw ani na uwielbienie, gdyż spełniam tylko obowiązek jaki nakazuje dobrze zrozumiana religia. A zresztą wyrzucam sobie że niekiedy nie jestem dość pobłażliwą dla innych kobiet, grzeszę więc pychą zapominając że jedynie winy nasze są wynikiem samej naszej natury, zaś cnoty i zasługi zawdzięczamy łasce Bożej.

Hrabina spełniła powzięte postanowienie. Weszła na bal do jenerałowej prowadząc pod rękę panią Nystem — oczy wszystkich zwróciły się na nią. Zbliżywszy się do jenerałowej rzekła:

— Przedstawiam pani panią Nystem, najlepszą moją przyjaciółkę, którą zarówno kocham jak szanuję.

Wszyscy skłonili się z uznaniem, gdyż pani de Chazé uważana była w całej Turenii za kobietę wielkich cnót i wywierała wpływ nieprzeparty. Ulegając mu i będąc przekonanym że pani de Chazé nie wystąpiłaby publicznie w obronie kobiety upadłej, jenerał zaprosił panią Nystem do kontredansa, i biedna spotwarzona mogła dumnie podnieść głowę, gdyż słyszała do koła mówiących:

— Nie podobna wątpić że pani Nystem była ofiarą niecnej potwarzy.

Od owego wieczoru hrabina zauważyła z radością że Rajmunda była daleko przezorniejszą i pobłażliwszą w wydawaniu sądu o innych kobietach.

Z jednej jeszcze wady Krystyna poprawić ją pragnęła. Rajmunda czytywała wiele, ale bez żadnego wyboru, na chybił trafił, już to książki historyczne, już to podróże, dzieła krytyczne, poezye i romanse; z tej bezładnej mieszaniny wytwarzała się niby rozległa erudycya, ale nader chaotyczna. Szczególniej niepokoiło Krystynę, zbytnie zamiłowanie Rajmundy w czytaniu modnych romansów.

Czytanie romansów — nie mówiąc nawet o tych haniebnych utworach spotwarzających niecnie kraj swój i wiek obecny — może nader niebezpieczne wywołać następstwa. Te nawet w których autor pod pozorem moralnej tendencyi, prowadzi czytelnika przez ciemne i nieczyste drogi, wykazując niby i potępiając złe, uczy go tych, co nawet nie mieli o nim pojęcia, a pewne zawarte w nich, niewinne niby myśli, zwroty i wyrażenia, wywołują nagłe rumieńce na czoło czytelnika. Najniebezpieczniejszem jest to właśnie, że romanse czyta się zawsze w samotności i w pół-świetle, tak pobudzających do złych marzeń i rojeń, do pokus umysłu. Mniej zgubnym jest wpływ teatru. Słuchacz i widz znajduje się w jasno oświetlonej przestrzeni; patrzy, ale jest widziany i czuje że czuwa nad nim uczciwość ogólna, i wyjąwszy w chwilach zawrotu i szału, nie przyklaskuje nigdy rażącemu lub osłonionemu występkowi. Na dowód tego dość jest powiedzieć że romansopisarze przerabiający romanse swoje na utwory dramatyczne mające być przedstawione na scenie, usuwają miejsca zbyt drażliwe, gdyż widzowie nie znieśliby tego co przecież pochłonęli czytelnicy.

Jedynem jeszcze antidotum na romanse palące utajoną gorączką, jest czytanie ich na głos, i dlatego hrabina prosiła Rajmundy aby jej czytała głośno nowe powieści przysełane z Paryża. Z niektórych przeczytano zaledwie kilka lub kilkanaście kartek, gdyż Rajmunda zatrzymywała się nagle zmieszana i niezadowolniona, mówiąc.

— Nie! niepodobna tego czytać!

— Masz słuszność, Rajmundo, weź inną książkę, odpowiadała hrabina.

Kończyło się to tem że Krystyna wybierała co czytać miały. Zwracano się wtedy do wielkich poetów, uszlachetniających i podnoszących dusze; do znakomitych pisarzy szanujących myśl i godność ludzką; jeźli przerywały czytanie, to nie wstydem ale uwielbieniem przejęte, rozbierając i komentując wielkie geniusze i podniosłych myślicieli, a umysł Rajmundy rozjaśniał się i uszlachetniał.

XVII.

Zamiana kwiatów.

Jan do Krystyny.

Niagara, 15 czerwca 1869 r.

„Kochana kuzynko.

„Posełam ci kwiat żądany; zerwałem go sam dziś na grobie tajemniczego twego bohatera James'a Abbott.

„Nie pojmuję dotąd dlaczego tak nagle wysłałaś mnie do Ameryki; im więcej nad tem myślę tem mniej zrozumieć mogę jakim sposobem podróż ta może mi dopomódz do odzyskania mojej ukochanej Lizardière — obecny posiadacz trzyma ją zaciecie w swych białych ale silnych szponach — mimo to jestem ci posłuszny jak zawsze, i jak zawsze jestem z tego zadowolony.

„Moje uprzedzenie do Amerykanów zmniejsza sie nieco. Nie znajdzie tu wprawdzie ani wykwintnej elegancyi, ani wyszukanego dowcipu i gładkiego salonowego obejścia starych ludów Europy, czujemy jednak że przebywamy wpośród wielkiego narodu. Co do mnie, nader wysoko w nich cenię to właśnie, co im jako wadę zarzucają — ową graniczącą niemal z dzikością niezależność charakteru — zapewne z tego powodu że zaród tej wady i we mnie nader głęboko jest zakorzeniony, i wyznaję szczerze że gdybym nie był royalistą starej Francyi, chciałbym być republikaninem młodej Ameryki. Jak w wielu rzeczach tak i w polityce ostateczności się stykają. Szeroko pomówimy o tem za powrotem, czytając dzieła o Ameryce Gustawa de Beaumont i Alexego de Tocqezille.

„Zanim jednak zostanę republikaninem uczuwam coraz większy żal i niechęć przeciw pysznej bogatej posiadaczce starego zameczyska w którem na świat przyszedłem. Im więcej zastanawiam się, tem trudniej mi zrozumieć zacięty upór panny Désormes, i tem tylko mogę wytłomaczyć go sobie, iż widać nienawidzi mnie, skoro odmawia mi czego nie odmówiłaby nikomu innemu. Nie dziwi mnie to zresztą, taka piękna wielkoświatowa dama, musi czuć niechęć do dzikiego samotnika jakim jestem i na zawsze pozostanę.

Zamieszkałam w głębi kanadyjskiego lasu, w pobliżu Niagara. Spotkałem się tu z panem Jonatanem Müller, owym bogatym Amerykaninem który tak drogo zapłacił mój obraz *Polowanie na dzika.* Wystawił tu wspaniałą fermę, którą bez pochlebstwa można nazwać pałacem, i prosił usilnie abym zajął się przyozdobieniem salonu, biblioteki i sali jadalnej. Zobowiązałem się wymalować mu dwanaście fresków, przedstawiających najpiękniejsze okoliczne krajobrazy. Praca ta zajmie trzy do czterech miesięcy czasu; a ponieważ znajduję się w kraju wielkiego handlu, przeto nie unosząc się fałszywym wstydem, przyznam że amerykańscy republikanie po królewsku opłacają dzieła sztuki.

„Nie myśl jednak, kochana kuzynko że i mnie opanował zapał handlarski; jeźli więcej jak kiedykolwiek pragnę teraz zarobić jak najwięcej pieniędzy, to dla tego jedynie abym mógł dojść do zamierzonego celu.

„Wyjeżdżając poleciłem memu notaryuszowi, aby kupił dla mnie ową fermę la Mairie, mającą służyć memu kochanemu kuzynowi, za pole do jego myśliwskich popisów. Na gruncie tej fermy zbuduję nowe Lizardière, według posiadanych planów starego zameczyska. Tam powstanie prawdziwe Lizardière i do niej przeniosę groby moich rodziców, nie chcę krzywdzić panny Rajmundy podejrzeniem że mi i tego odmówi.

„Nie dość na tem będę skupował co tylko w okolicy będzie do sprzedanie, a jeźli się da i las Chateau-la-Tallière — i tym sposobem odbuduję i powiększe jeszcze dziedzictwo moich naddziadów. Oto moje plany na przyszłość, tylko droga kuzynko nie wyjawiaj ich pannie Rajmundzie, gdyż gotowaby zakupić lasy całej Turenii aby mi dokuczyć i nie dopuścić ich urzeczywistnienia.

„Bywaj mi zdrowa, nieoceniona kuzynko, i nie zapominaj kochającego was wygnańca,

Jan de Lizardière.

U pana Jonatana Müller, w Niagara."

Rajmunda była w salonie gdy ten list oddano; dostrzegła zaraz markę zagraniczną i poznała pismo Jana, które widziała u notaryusza, nie wyrzekłszy jednak ani słówka, wpatrywała się tylko w twarz hrabiny, chcąc wyczytać z niej wrażenie wywołane odebranym listem.

(D. c. n.)

PANI TEODORA.

przez
Panią Klementynę Helm.
Przekład z niemieckiego.
przez
K. P.

(Dalszy ciąg.)

— Ta roztrzepana kobieta nie wie nawet co to jest oszczędność i porządek, mówiła często z gniewem pani Gahlen do córek, które nie śmiały usprawiedliwiać Teodory, aby tym sposobem nie powiększyć jeszcze gniewu matki. Prawdę mówiąc znalazłoby się mało osób dochodzących pod względem porządku do takiej doskonałości jak pani Gahlen. Zaraz w pierwszy dzień roku naznaczano w kalendarzu czerwonym krzyżem dni w które miano rozpoczynać wielkie pranie, a w przeddzień każdej uroczystości szorowano i czyszczono wszystko w całym domu.

— Mieszkania równie jak dusza powinny być oczyszczone ze wszelkiego brudu jeźli chcemy uczcić pana Boga. Na mocy tej zasady nawet w każdą sobotę woda z mydłem spływała na wszystkie schody i podłogi, nie dotknięte nigdy woskiem ani farbą, i woń wilgotnego drzewa unosiła się po całym domu, gdzie także myto okna i zawieszano firanki w pewnych, stale oznaczonych epokach, bez względu czy to będzie potrzebnem, czy nie. W piecach zaczynano palić 1-go października, nie zważając na stan powietrza, a przestawano 1-go kwietnia, tak w razie gdy wczesna wiosna przyozdobiła fiołkami trawniki, jak też skoro jeszcze wszystko pokrywał śnieg swym białym całunem.

Porządek i gospodarstwo w domu Fryderyka, pozostawione na łaskę losu, i stanowiące tak rażącą sprzeczność z tą nieubłaganą systematycznością, budziło odrazę w pani Gahlen. Córki jej, równie jak ona sama w młodości, same uprzątały swoje pokoje, uczyły się prać, gotować, prasowały, piekły ciasta, wiedziały jak każda rzecz powinna być zrobiona i czego można wymagać od służących. Ale ta Teodora niema o niczem wyobrażenia!

— Jesteś nazbyt pobłażliwym dla żony, mój synu, rzekła pewnego dnia aby użyć sercu tym sposobem. Obowiązek nakazuje ci położyć koniec złemu, jeźli nie chcesz aby szydzono z ciebie w mieście; widziałam już z jakim lekceważącym uśmiechem znajomi nasi mówią o twoim domu. Podobne rzeczy przynoszą ujmę całej rodzinie; nie chcę abyśmy z winy osoby obcej stracili prawo do szacunku jaki nam zawsze okazywano.

Fryderyk zbyt kochał żonę, aby mógł nie stanąć w jej obronie, jakkolwiek sam czuł że po części czynione jej zarzuty były usprawiedliwione przez rozrzutność i nieład o którym matka jego miała zaledwie słabe wyobrażenie, a który niemało przyczyniał mu strapienia. Aby uspokoić ją trochę, chciał jej dowieść że nie jest tak słabym jak sądziła i w tym celu połajał raz w jej obecności żonę za jakieś przekroczenie pod względem porządku, ale Teodorę, zwykle łagodną i cierpliwą oburzył ten rodzaj publicznej pokuty.

— Błagam cię Fryderyku, nie czyń tego więcej rzekła do niego później ze łzamy w oczach; nie zdołasz nawet wyobrazić sobie jak mnie to dotknęło boleśnie, jak czułam się upokorzoną, poniżoną!

Fryderyk postanowił więc nadal znosić w milczeniu przykrości wynikające z niedbałego utrzymania domu, wymówki matki, i udręczenie z powodu groźnie zapowiadającej się przyszłości.

Potrzebował wypoczynku i spokoju w domu aby nabrać sił do walczenia z okazywaną mu jawnie przez kilku profesorów nieprzyjaźnią, której naturalnym wynikiem był upadek karności w gimnazyum, i kłótnie między uczniami, stojącymi po stronie dyrektora lub Felsinga, który zdjął nakoniec maskę obłudy, i okazał się tym, czem był zawsze, to jest nieprzyjacielem zdradliwym i niebezpiecznym.

Trudno się dziwić że Fryderyk czujący w sobie tylko powołanie do nauczania z katedry, a nie życzył sobie wcale włady zwierzchniczej, zmuszającej do nadzoru nad innemi, żałował teraz swej dawnej niezależności, której wyrzekł się dla tego jedynie, aby mógł się połączyć z narzeczoną. Uczucie delikatności nie dozwalało mu okazać tego żalu, gdyż możnaby to uważać za jakieś uskarżanie się, bolesne dla Teodory która nie żądała nigdy podobnego poświęcenia. Gdyby jednak odgadł jakim powodom żona jego przypisuje smutek zasępiający jego czoło, byłby jej natychmiast wyznał prowdę, i uwolnił od ciężkiego niepokoju i wyrzutów sumienia wzmagających się z każdym dniem prawie.

XIV.

Dwie rozmowy.

Pewnej niedzieli po południu, w małym ale gustownie i wygodnie urządzonym saloniku, otyła dama siedząca na sofce, roztaczała na niej fałdy sukni jedwabnej w duże kwiaty, a znajdująca się naprzeciwko niej niemłoda już kobieta, z twarzą łagodną i rozumną, przyrządzała kawę na maszynce. Jedną z nich jest pani Hiller, drugą poczciwa pani Wunderlich, która przyszła na parę godzin do przyjaciółki, a jako dobra i przywiązana żona, pracowała gorliwie nad podarunkiem przeznaczonym dla męża na gwiazdkę, to jest robiąc dla niego pantofle w jaskrawe kwiaty.

— Cieszy mnie to bardzo, rzekła pani Hiller swym łagodnym i dźwięcznym głosem, że nasze kółko zostało powiększone przybyciem dyrektora i jego żony. Jakaż to piękna i miła para! Prawdziwa to dla mnie przyjemność gdy jestem z nimi. Mój syn żyje z dyrektorem w bardzo przyjaznych stosunkach, a młoda pani Gahlen okazała mi zaraz przy pierwszem spotkaniu tyle ufności że mi tem odrazu trafiła do serca. Łatwo pani pojmie że matka której córki dawno powychodziły za mąż, i daleko od niej mieszkają musi być przyjaźnie usposobioną dla młodych mężatek.

— Bardzo mi przyjemnie że pani podziela moje zdanie co do młodych Gahlen'ów, zawołała pani Wunderlich. Ta śliczna pani Teodora i mnie także bardzo się podobała, i nieraz omało nie przemówiłam się z panią Felsing, i matką jej panią Martin, które wyrażają się o niej nieprzychylnie. Można do nich śmiało zaliczyć i pannę Fincher Wensdorf, co mnie dziwi ze strony osoby gotowej zawsze otaczać nowoprzybyłych swą opieką.

— Czy niedomyślasz się moja droga że nieoceniona panna Finchen czuje się obrażoną że Pani Teodora nie troszczy się o jej zdanie i nie zasięga wcale jej rady, a wiemy iż Finchen bardzo lubi radzić każdemu, nie poprzestając na otaczaniu troskliwą opieką, swej nieśmiałej małoletniej siostry.

— Może to być rzekła pani Wunderlich, rozśmieszona wspomnieniem o tej nieśmiałej i małoletniej siostrze — ale to jeszcze nie tłomaczy nieprzychylności tych twoich pań które wymieniłam.

— Dla mnie jest to bardzo łatwem do zrozumienia. Panią Felsing trzeba uważać za echo jej matki i męża, których wszystkie plany zostały pokrzywione nominacyą Fryderyka Gahlen na dyrektora nic więc dziwnego że im się nie podobała młoda i piękna żona szczęśliwego rywala. Kto patrzy z uprzedzeniem, w tego oczach najlżejsze przywary zamieniają się łatwo w najcięższe wady; a prócz tego trudnoby znaleźć coś sprzeczniejszego z sobą, jak charaktery pani Martin i pani Teodory.

— To prawda, w charakterze pani Martin jest coś ostrego, prawie odpychającego; nie pociąga serc ku sobie, i nie zdaje się o to troszczyć. Powiadają że ma wielki wpływ nad mężem, i że gdyby nie to nie byłby tak sztywnym i surowym, gdyż w gruncie jestto uczciwy człowiek.

— Jest to bardzo prawdopodobnem; umysł tej pani ograniczony a uprzedzenia nielitościwe, jak mogłam się przekonać o tem z własnego doświadczenia, odpowiedziała poważnie i ze smutkiem pani Hiller. Pan Martin żyje w towarzystwie swych książek, i nie znając ani świata ani ludzi spuszcza się we wszystkiem na żonę, nie stworzoną bynajmniej do powodowania innymi, ponieważ sama idzie naślepo za natchnieniem zięcia, najgorszego w świecie doradzcy. Nie pojmuję jak ten człowiek mógł pozyskać zaufanie pani Martin; co do mnie, czuję do niego coś zbliżającego się do odrazy.

— Zupełnie jak ja! zawołała pani Wunderlich. Temu człowiekowi źle patrzy z oczu, a co do jego szumno słodkiej wymowy, widzę w niej tylko obłudę i nie wzrusza mnie wcale. Czy zwróciłaś, moja droga, na to uwagę jak on się obchodzi z biedną swoją żoną? Nie lubię jej, to prawda, ale pomimo to zdaje mi się że warta lepszego losu choćby dlatego, że jest bardzo dobrą i troskliwą matką.

— Podzielam twoje zdanie odpowiedziała spokojnie pani Hiller. Jest ona zupełnie pozbawiona słodyczy charakteru, a swem obejściem i zupełnym brakiem wyrozumiałości dla bliźnich bardzo przypomina matkę. Jednak pomimo tych wad swoich jest bez porównania lepszą od męża. Fryderyk Gahlen powinien być bardzo ostrożnym, bo zdaje mi się że Felsing stara mu się szkodzić wszelkimi sposobami. Nie podoba mi się naprzykład to jego widoczne nadskakiwanie pani Teodorze, a tem więcej sposób jego wyrażania się o niej.

— Pani Wunderlich przestraszona upuściła robotę na kolana.

— Czy naprawdę sądzisz że ten niegodziwy człowiek pragnie skompromitować tę dobrą i niewinną kobietę? W takim razie muszę przyznać, że nie mogłam już doradzić nic gorszego nad to co doradziłam.

— Jakaż to była rada?

— Zachęcałam panią Teodorę aby starała się być bardzo uprzejmą dla tego Felsinga, sądząc że ujęty jej grzecznością stanie sie przychylniejszym dla jej męża. Podziękowała mi i przyrzekła zastosować się do mej rady, i rzeczywiście widziałam że na ostatnim wieczorku była dla niego bardzo grzeczną.

— A więc wtenczas właśnie gdy chwalił się z oburzającą zarozumiałością, że czas upływa mu bardzo przyjemnie w towarzystwie ślicznej pani Teodory. Zdaje mi się, moja droga, że twoja rada jakkolwiek pochodząca z najlepszego serca, nie była bardzo roztropną tym więcej że tak czysta i niewinna

kobieta nie domyśla się nawet jak złośliwi ludzie mogą tłomaczyć jej miłe i ujmujące obejście, nie zważając na to że jest dla wszystkich zarówno uprzejmą. Nie wyłączam od tego matki jej męża, rzucającej na synową surowo karcące spojrzenia, jeśli ta rozmawia dłużej z ktorymś z panów. Według pani Gahlen cnotliwe kobiety powinny rozmawiać tylko z kobietami, i odrzucać od siebie jak sidła szatańskie, wszelkie grzeczności mężczyzn. Prócz tego, pani Teodora jest bardzo piękną, więc litościwe duszyczki wiedzione zazdrością gotowe zawsze wyciągnąć krzywdzące wnioski z najniewinniejszych jej postępków. Nie każdy może budzić w innych zazdrość.

— A ja nierozsądna prowadziłam ją prosto w zasadzkę! zawołała pani Wunderlich załamując ręce. Muszę koniecznie wynagrodzić moją głupotę... Niech się tylko kto ośmieli powiedzieć do mnie że pani Teodora jest kokietką, pożałuje z pewnością że nie powstrzymał złośliwego języka. Jest to dobre, szlachetne serce, i stara pani Gahlen powinnaby dziękować Bogu codzień przez całe życie, że jej dał taki skarb na synowę.

— Tak, jest to dusza wzniosła i szlachetna, zawołała z żywością pani Hiller; mniejsza o to że nie posiada przymiotów dobrej gospodyni, nie można wątpić nawet o tem że je nabędzie później, gdy się przekona z własnego doświadczenia, jak dalece są potrzebne i użyteczne. Co do mnie, wyznaję, że lubię patrzyć na młodą mężatkę, która zachowała zamiłowanie do zajęć umysłowych; jest to prawdziwa rozkosz dla moich oczu, znużonych widokiem, pospolitych i poziomych zabiegów. Zwykle poezya i wdzięk młodości niknie z ostatnim dniem miodowego miesiąca, a jeśli miały więcej sił żywotnych, to utoną już stanowczo w kąpiołce pierwszego dziecięcia, którego żołądeczek, ząbki i nosek, zajmują wyłącznie wszystkie władze duszy i umysłu matki. Nie biorę jej tego za złe, bynajmniej; ale serce mnie pociąga ku młodej i energicznej kobiecie, która wśród ciążących na niej obowiązków i zajęć potrafi przechować poczucie i zamiłowanie piękna. Daj Boże abym mogła przekonać naszą niedoświadczoną gosposię, że można dokładnie spełniać codzienne obowiązki, nie zaniedbując talentów i nie poprzestając kształcić serca i umysłu.

Pani Wunderlich skinęła tylko twierdząco głową. Poczciwa kobieta nie zrozumiała dobrze, ale nie troszczyła się o to; poprzestawała na tem że jej przyjaciółka, osoba tak światła i rozumna, kochała Teodorę równie jak i ona! Ta mieszczanka z czwartorzędnego miasteczka nie posiadała wykształcenia, miała nader słabe wyobrażenie o sztukach pięknych, a literatura starożytna i nowoczesna były dla niej niezbadaną tajemnicą, ale miała charakter szczery, prawy, umiała kochać i zasłużyć sobie na to aby ją kochano; ileż to osób nawet wysoko wykształconych nie zdołałoby się poszczycić tą tak ważną i potrzebną umiejętnością?

W tymże samym czasie, dwie inne osoby rozmawiały, pijąc kawę, o tym samym mniej więcej przedmiocie; był to stary pastor i jego żona. Pan Nartin przebudził się właśnie z poobiedniej drzemki, siedząc w wygodnym fotelu w aksamitnej czapeczce na głowie i z fajką w ustach, byłby przyjemnie używał tej chwili wypoczynku, gdyby nie obecność żony, osoby kościstej i z ostrym wyrazem twarzy, która przebierając szybko drutami, nie pozwalała także próżnować językowi.

— Nie przestanę nigdy nad tem ubolewać że w tym razie okazałeś tak mało energii, mówiła gdy mąż patrzył prosto przed siebie z wyrazem znudzenia puszczając coraz gęściejsze chmury dymu z krótkiej fajki. Tak łatwo było otrzymać miejsce dyrektora dla Felsinga, gdybyś był zamiast trzymać się na uboczu, przemówił za nim otwarcie i stanowczo. Żal mi Felsing'a, bo zawsze to powtarzać będę, stał się ofiarą niesprawiedliwości.

— Uwolnij że mnie już raz od tych narzekań, zawołał pan Martin zniecierpliwiony; twoje wymówki ten tylko mają skutek, że mnie nudzisz niemi. Obiecuję ci poraz setny, że skoro zawakuje gdzie miejsce dyrektora, poruszę niebo i ziemię aby je Felsing otrzymał. Pomimo najlepszej chęci nie mogę uczynić więcej.

— Gdyby ci się nawet udało to cóż z tego wyniknie? oto że nasze dzieci będą zmuszone opuścić nas; gdyby zaś przeciwnie Felsing zajął miejsce Gahlen'a jak ma do tego prawo, byłabym pewna że pozostaną zawsze przy mnie. Wiesz że wszystkie przyjemności za któremi ubiegają się inne kobiety niczem są dla mnie, jeśli więc dzieci moje będą zmuszone mnie opuścić, pozostanę tu sama jedna na świecie.

Pan Martin na tak pochlebną wzmiankę o miejscu jakie zajmuje w sercu małżonki, odpowiedział tylko tak gęstemi kłębami dymu że nie można było dostrzedz wyrazu jego twarzy.

— Gdyby przynajmniej, dodała, konsystorz był uwiadomiony jak opłakane skutki przyniósł tak niesprawiedliwy wybór, poznaliby całą rozciągłość swej głupoty. Śliczne rzeczy dzieją się teraz w gimnazyum! Kłótnie między uczniami, kłótnie między nauczycielami, żadnego porządku, ani cienia karności! Zdaję mi się że obowiązek nakazuje ci położyć temu tamę, skoro do ciebie należy nadzór nad szkołami.

— Powiedz mi, Marto, dla czego Felsing udaje się do ciebie ze swemi zażaleniami? czemu nie zwróci się szczerze do mnie? zapytał pastor marszcząc brwi szerokie i najeżone.

— Jak możesz mi zadawać podobne pytanie? zawołała pani Martin z bolesną wymówką. Nasz zięć jest zbyt szlachetnym i delikatnym, aby chciał występować w roli donosiciela uwiadamiając cię o błędach Gahlen'a; ale chcąc ulżyć sercu przepełnionemu gniewem i oburzeniem, mówi o tem szczerze ze mną, żądając jednak obietnicy że nie powtórzę ci tego, bo wzdryga się na samą myśl zaszkodzenia tak niegodnemu zwierzchnikowi jak Gahlen.

— A więc dobrze, postaram się to zbadać, a jeśli to co mówisz jest prawdą, postąpię tak jak mi nakazuje obowiązek, rzekł pastor surowo.

— Jeźli mówię prawdę! Wątpisz jeszcze o tem gdy ci powiedziałam że to Felsing udzielił mi tych wszystkich szczegółów! zawołała pani Martin z uniesieniem. W każdym razie, wnosząc tylko z tego co widzimy własnemi oczyma, trzeba przyznać że można uważać młodych Gahlen'ów za szczęśliwy nabytek dle naszego towarzystwa. Mąż ma pojęcia radykalne, o żonie zaś mówią rzeczy których nie miło słuchać ludziom uczciwym. Osądziłam ją dobrze za pierwszem widzeniem, jest to kobieta światowa, której zalotność przechodzi dozwolone granice. Do tego jakaś sawantka zajmująca się tylko poezyą, malowaniem, muzyką, a zaniedbująca zupełnie gospodarstwo. To dopiero piękny wzór dla żon profesorów. Zresztą już to samo że w jej mieszkaniu jest mnóstwo obrazów i statuetek obrażających oczy osoby skromnej, dowodzi że nie może zajmować stanowiska na którem tylko ślepy los ją postawił.

— Jakimże sposobem pani Gahlen, tak wzorowa i zacna matka rodziny, może mieć tak mało wpływu na dzieci że im pozwala na coś podobnego?

— Nie zdaje mi się bardzo zadowolnioną z synowej, a nawet wnosząc z pozorów i z tego co ludzie mówią nie lubi jej wcale. Jakaż to różnica między naszą córką a tą szaloną głową! nasza Augusta jest tak wzorową żoną i matką, tak dobrą córką, tak pracowitą gospodynią! A jakimże dyrektorem byłby Feising! To prawdziwa zbrodnia że pokrzywdzono takiego jak on człowieka.

— Najpotulniejsi i najlepiej wytresowani mężowie miewają napady niezależności; więc też i pan Martin chcąc powstrzymać potok słów płynący bez końca z ust jego żony gdy dotknęła ulubionego przedmiotu, oddalił się aby znaleźć spokojność wśród swych książek. Ale jakkolwiek nie zdawał się przywiązywać wiele wartości do tych przesiąkłych żółcią oskarżeń, rozmyślał długo, a w końcu postanowił zbadać prawdziwy stan rzeczy w gimnazyum. Wszak było to jego obowiązkiem; wszak powinien czuwać nad tem.

XV.

Zaproszenia.

Tego samego dnia wieczorom, pani Wunderlich siedząc przy stole ze swym poczciwym mężem, na którego współczucie mogła zawsze rachować, ulżyła sercu wynurzając przed nim żal z powodu nierozważnie udzielonej Teodorze rady, oburzenie na jej nieprzyjaciół i swoje zamiary.

— Poradzimy na to, poradzimy, rzekł pocieszająco. Możemy naprzykład wydać obiad dla młodych Gahlen'ów, i wciągu rozmowy przy stole, zniszczyć skutki złej rady udzielając dobrej, i wytłomaczyć jasno powody tej zmiany. Mam jeszcze w piwnicy trochę dobrego szampańskiego wina, i przysłano mi właśnie pasztety, których spróbować nie zawadzi. Jeźli chcesz to dójdę po nich zaraz jutro rano, albo wieczorem jeźli wolisz.

— Nie, mój mężulku, nie sądzę aby twój plan był dobrym, odpowiedziała z czułością pani Wunderlich, podając mężowi trzecią filiżankę herbaty ponieważ potrzebuje wytłomaczyć to wszystko pani Teodorze w nieobecności jej męża. Ale możesz wydać proszony podwieczorek, wciągu którego będę miała sposobność okazać wszystkim jak wysoko cenię panią Teodorę. Mogę liczyć z pewnością na pomoc poczciwej Hiller'owej, trzebaby nieszczęścia gdybyśmy nie zdołały wspólnemi siłami powstrzymać złośliwych języków.

— Tak, tak, Mino, wyborna myśl, wydajmy proszony podwieczorek, zawołał pan Wunderlich z widocznym zadowolnieniem, a potem dodał:

— Dostarczę ci kilka butelek węgierskiego wina, i każę upalić najlepszej kawy moka; aby miała woń przyjemną. Możnaby także podać parę pudełek tych smażonych owoców które tylko co odebrałem z Francyi, a jeżeli będą smaczne, to zapiszę nowy transport do sklepu. A teraz powiedz mi jakie chcesz mieć ciasto? Może najlepiej będzie abyśmy razem poszli do cukierni, i tam dopiero wybrali co będzie najlepszego.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 30.

(Dokończenie.)

N. 25. Krawatka do zapięcia na okryciu.

Krawatka z blado niebieskiej materyi surah, 15 cent. szeroka o 120 długa, ma końce ozdobione haftem maszynowym 20 cent. szerokim w kolorze złoto-żółtym, jasno i ciemno bronzowym. Prócz haftu dane są jedwabne pompony i frendzla 6 cent. szeroka.

N. 26. Suknia zdobna haftem i kokardami.

Spódnica od sukni z perkalu kawowego koloru, miała wolant haftowany w maszynie takimże kolorem, 30 cent. szeroki, przyszyty pod bufą, marszczoną z nagłówkiem. Tunika suto fałdowana, podpięta z boków kokardami z wstążki atłasowej. W staniku gładkim z baskiną, zasługuje na uwagę oryginalny sposób wszycia haftu w przody, przecięte skośnie od wykroju szyi aż do gorsu. Wszycie haftu wskazuje ryc. 26; przecięte części przodów są ściśle zmarszczone i spięte na wierzchu haftu agrafką metalową.



N. 1—2. Ubrania spacerowe dla dziewczynek lat 4—8.

N. 1. Sukienka fałdowana zapinana z boku. Krój podług r. 32. w N-rze 28.

N. 2. Paletocik z pelerynką.



N. 3 Suknia z tuniką. Patrz ryc. 7 i 27.



N. 4. Suknia z szarfą.



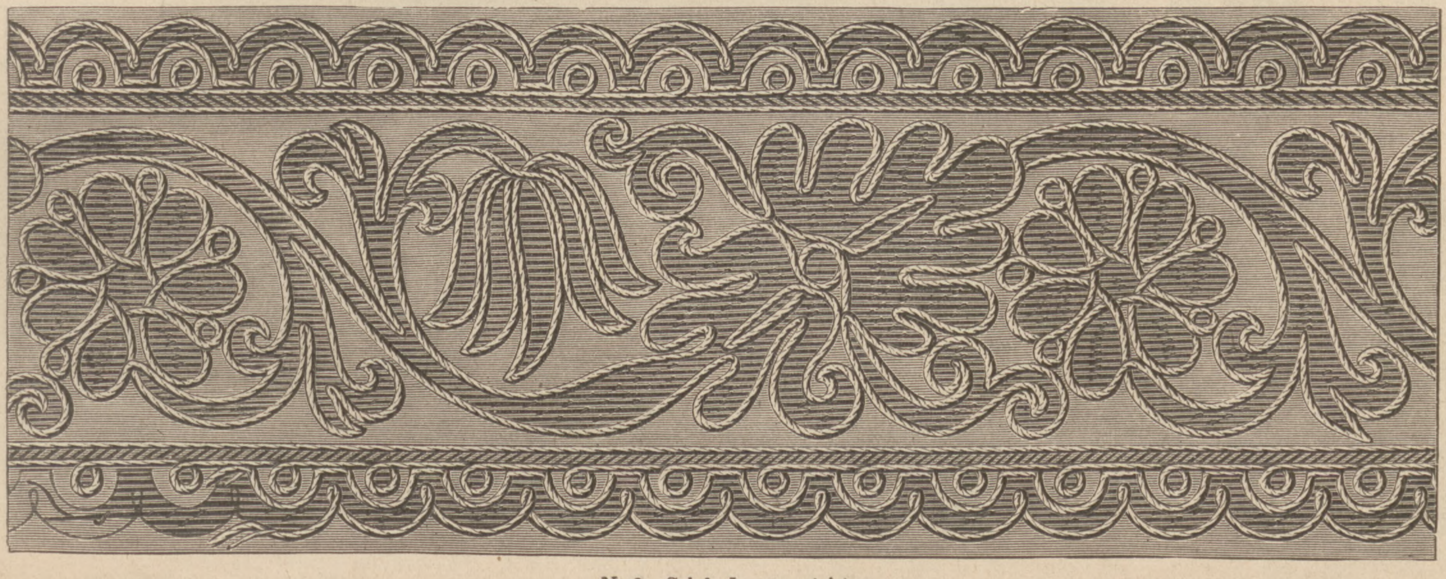
N. 5. Kapelusik z wysoką główką. Patrz ryc. 25 w N-rze 29.

N. 28. Serwetka robiona szydełkiem.

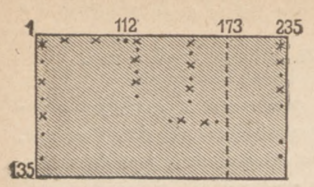
Robota szydełkowa wykonana z grubej piaskowej bawełny, podług próbki koronki danej na ryc. 24. Gipiura szydełkowa odpowiednia jest do wykonania dla osób bardzo wprawnych w robotę szydełkiem. Kwadracik środkowy łatwo odrobić podług próbki ryc. 24 (robota idzie tam i napowrót poprzecznie) ale całą trudność stanowią narożniki w szlaku brzeżnym, który tym się różni od koronki ryc. 24, że u góry nie ma brzegu prostego, lecz zakończony jest w ząbki z pikotami, zachodzące na szlak z kolorowego pluszu, łączący kwadrat środkowy z brzegiem.

N. 29. Negliżyk nazwany „mother Hubbard“.

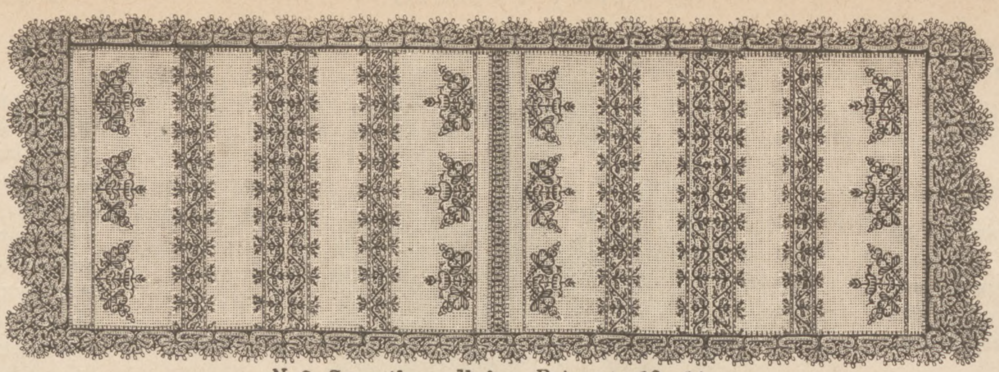
Denko stanowi kawałek gazy deseniowej podłożonej muślinem 40 cent. długi a 58 cent. szeroki, złożony we dwoje na karczek 6 cent. szeroki, przyszyty do paska sztywnego tiulu w środku w ząb założonego, 6 cent. szerokiego a 32 długiego. Denko z boków przyszywa się gładko a tylko w środku ściśle fałduje. Pasek tiulowy przykryty jest wszywką



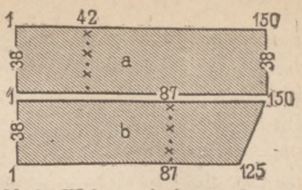
N. 6. Szlak do serwet i t. p.



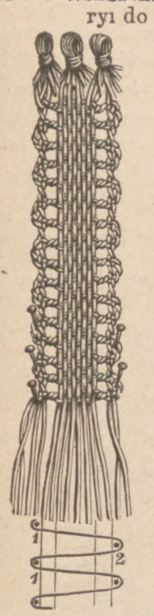
N. 7. Wskazanie kroju draperyi do ryc. 8.



N. 9. Serwetka podłużna. Patrz ryc. 10—14.



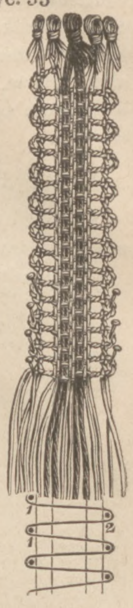
N. 8. Wskazanie kroju draperyi do ryc. 33



N. 16. Tasiemeczka koronkowa robiona ręcznie na szpilkach.



N. 15. Koronka z gładkiej tasiemeczki. Patrz ryc. 16—17.

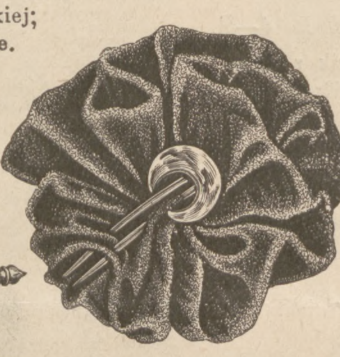


N. 17. Tasiemeczka koronkowa robiona ręcznie na szpilkach.

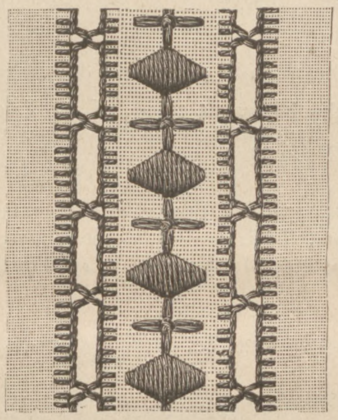
i ogarnirowany z brzegów koronką marszczoną, 8 cent. szeroką. Karczek zmarszczony jest na elastykę do 14 cent. szerokości; kokarda na wierzchu dana z wstążki repsowej 5 cent. szerokiej; końce do wiązania 2 centym. szerokie.

N. 30. Negliżyk „Charlotte Corday".

Owalne denko z białej jedwabnej gazy 26 cent. długie, a 22 szerokie, przyszyte jest do paska sztywnego tiulu z przodu 5, z tyłu 2 c. szerokiego a 52 cent. długiego. Denko przykryte jest kawałkiem kremowego mousseline de laine w kolorowe kwiatki 45 cent. długim a 32 szerokim, który po złożeniu w drobne fałdki przyszywa się w około do paska a niewidocznemi ściegami przyczepia bufiasto na denku gazowem. Koronka 12 cent. szeroka wywodzona kolorowo, oszywa brzegi czepeczka a na środku z przodu podpięta jest w ząb i przypięta kokardą z wstążki ottoman, 3 c. szerokiej; druga kokarda z długiemi końcami dana z tyłu.



N. 18. Rozeta aksamitna.



N. 10. Szlaczek i połączenie pasów, do ryc. 9.



N. 19. Kapotka dla dziewczynki. Patrz ryc. 24.

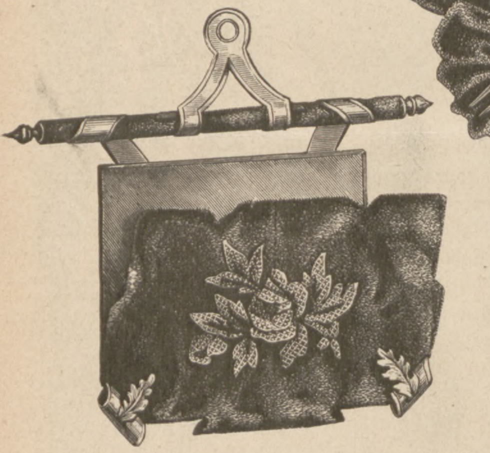
N. 31—33. Suknie letnie.

N. 31. Suknia przybrana koronką.

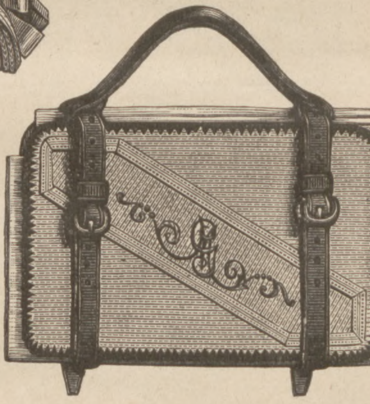
Uszyta z niebieskiego fularu, ma spódnicę przybraną trzema plisowanemi falbankami, po 15 cent. szerokiemi, między któremi dana gruba koronka, robiona na szpilkach. Z przodu przerzucona krótka szalowa draperya, z tyłu spada w długą bufę, bryt prosty zmarszczony, przypięty pod karoczkiem. Na staniku chusteczka koronkowa.

N. 32. Suknia z długą tuniką.

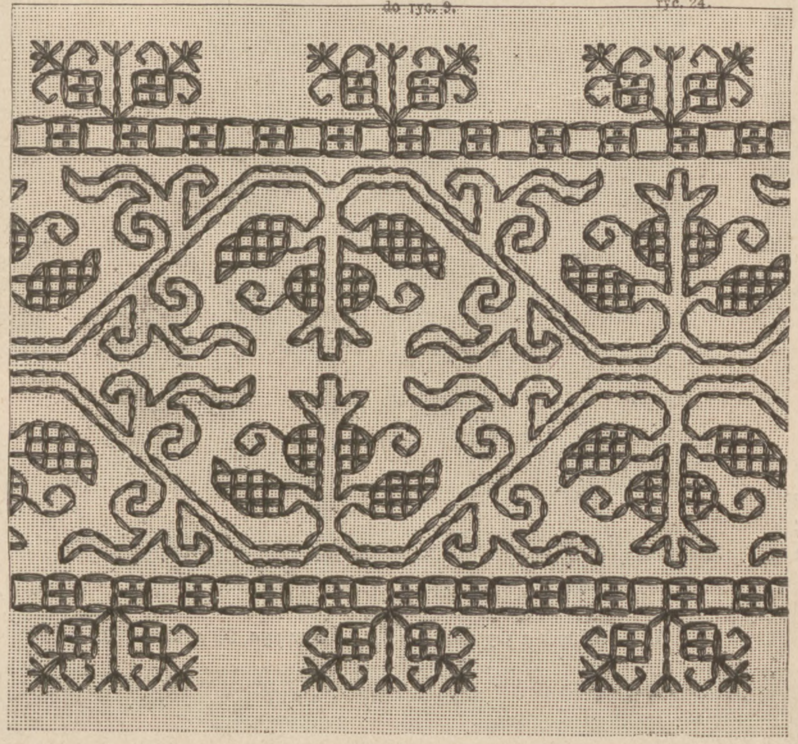
Materyał stanowi fular ottoman gładki i deseniowy; na spódnicy dana falbana 43 cent. szeroka, ułożona w kontrafałdy po 7 cent. szerokie. Draperya przednia składa się z dwóch brytów po 45 cent. szerokich a 125 długich zszytych z sobą do 42 cent. od



N. 20. Teka do pism.



N. 21. Teka na szkice i rysunki.



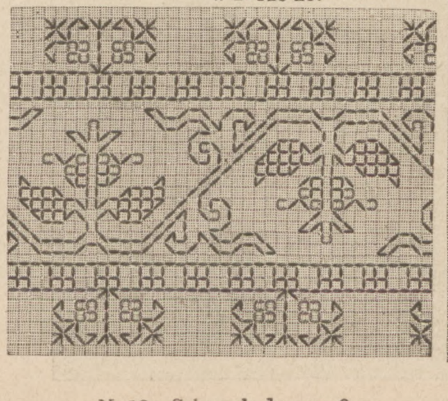
N. 11. Szlak szeroki do ryc. 9.



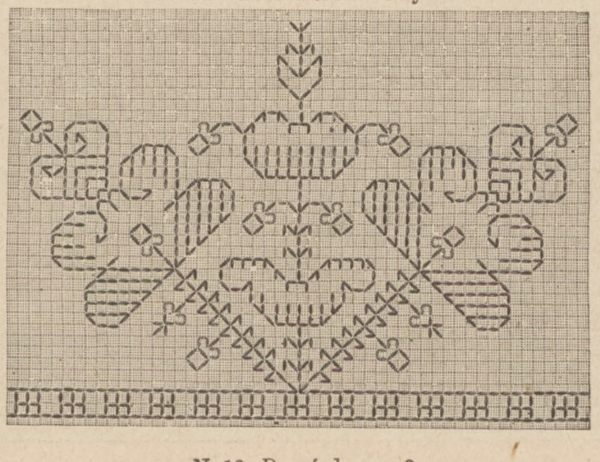
N. 22. Plecy do r. 2 w N-rze 29.



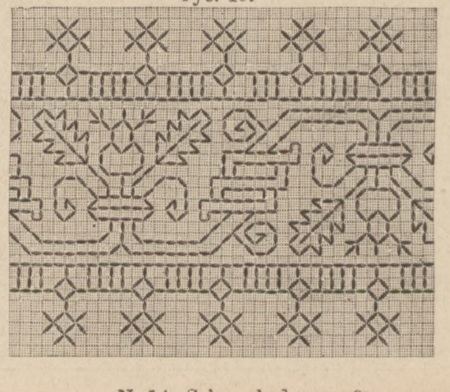
N. 23. Plecy do ryc. 40.



N. 13. Szlaczek do ryc 9.



N. 12. Deseń do ryc. 9.



N. 14. Szlaczek do ryc. 9.

dołu, z boków zaś przez sfałdowanie skróconych do 60 cent. Krótki stanik z baskiną, ozdobiony jest plastronem ściętym w ząb u góry i u dołu i dopełnionym marszczoną szmizetką z jedwabnej gazy.

N. 33—36. Opis w N-rze 29.

N. 37. Kapelusz słomkowy z główką tiulową.

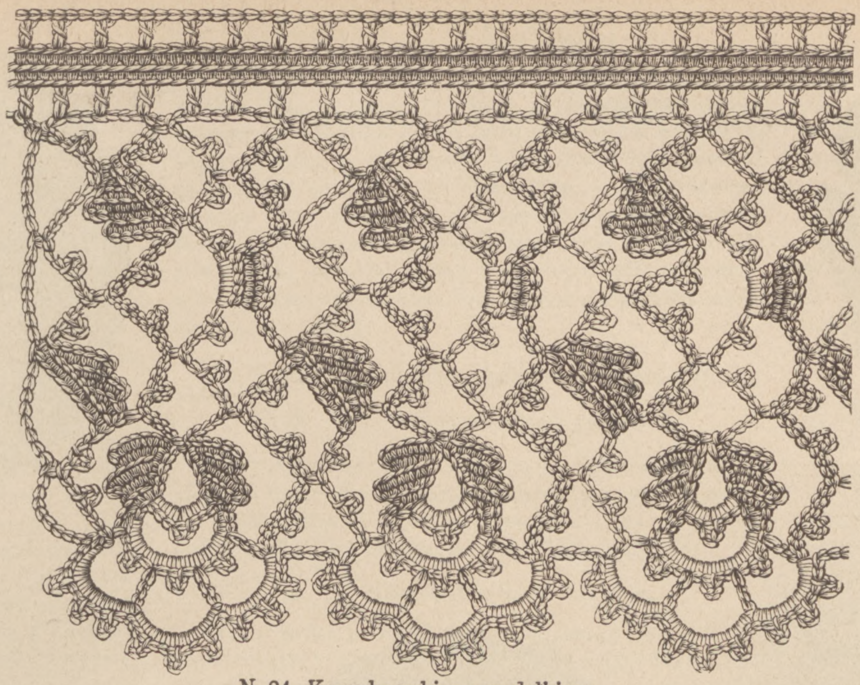


N. 26. Suknia zdobna haftem i kokardami.

Podstawka pod główkę 8 cent. wysoką, jest z bronzowego sztywnego tiulu, wierzch zaś suto nabufowany jest z tiulu białego deseniowego (dentelle de Saxe); główka ta przyszywa się do rondka z bronzowej słomki z przodu 12 z tyłu 7 cent. szerokiego. Aksamitka vieil-or 2 cent. szeroka, użyta na kokardę z wierzchu główki, z pod której wysuwają się końce przypięte szyldkretowemi szpilkami. Bukiet z bratków złotawobronzowych i niezapominajek.

N. 38. Kapelusz koronkowy z główką słomkową.

Do główki 6 cent. wysokiej, plecionej z cieniutkiej czarnej słomki przyszyte rondko z podwójnie wziętego sztywnego tiulu, z przodu 12, z tyłu 2 cent. szerokie. Od spodu podszyte jest czarnym aksamitem w odstępie 3 c. od brzegu, który zdobią trzy rzędy złotego sutaszu; wierzch rondka przykrywa hiszpańska koronka 9 c. szeroka. Główkę opasuje skos aksamitny 6 c. szeroki, zakończony u dołu dwoma rzędami sutaszu, z boku przypięte pięć krótkich strusich piórek. Do wiązania końce z aksamitki na atłasowym spodzie po 2 i pół c. szerokie, 2 metry długie.



N. 24. Koronka robiona szydełkiem.



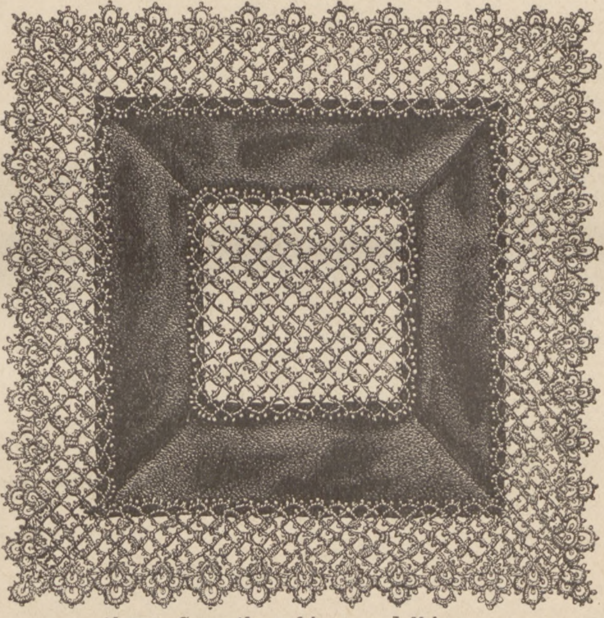
N. 25. Krawatka jedwabna.

N. 40 i 23. Suknia z koronkowym kaftaniczkiem.

Strojność toalety z materyi jedwabnej lub letniego wełnianego materyału, podnosi oddzielnie wykończony koronkowy kaftaniczek, do jasnych sukien biały lub żółtawy, do ciemniejszych czarny. Ubranie przedstawione na r. 40 odrobione z blado różowego voile i kremowej koronki. Kaftaniczek bez rękawów zrobiony jest z prostego kawałka koronki, z przodu odpowiednio do figury założonego w zakładki z tyłu zaś zaszytego. Karoczko od pleców 40 c. długie, lekko podpięte spada na upięcie z koronki 50 cent. długie, a 54 szerokie, ogarnirowane równie jak stanik, wykrój szyi i pachy, koronką 14 c. szeroką Pasek i kokardy z wązkiej wstążki. Przód sukni naszyty koronkowemi wolantami, z boków dane sute kokardy z szerokiej wstążki. Na bufy à panier dodane z boków, potrzeba dwóch brytów po 30 c. szerokich a po 70 długich, które w połowie długości tworzą rodzaj panier a w drugiej są drobno zaplisowane i spuszczone na spódnicę. U dołu spódnicy falbany plisowane. Na r. 23 widzimy w małym formacie tę samą suknię bez koronkowego kaftanika.



N. 27. Suknia z tuniką. Patrz r. 3?1



N. 28. Serwetka robiona szydełkiem.



N. 29. Negliżyk „mother Hubbard".



N. 30. Negliżyk „Charlotte Corday".



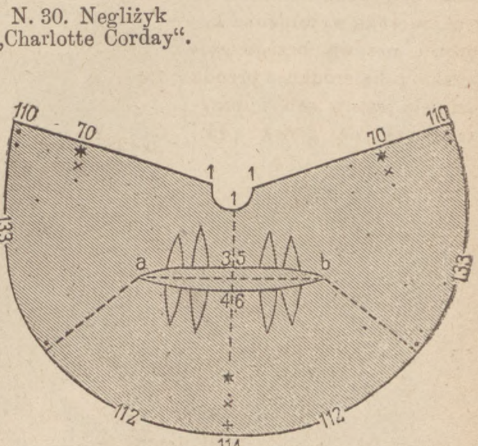
N. 34. Lewa strona okrycia upiętego z koronkowej rotundy. Patrz ryc. 36 tudzież ryc. 27 w N-rze 29.



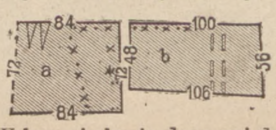
N. 31. Suknia zdobna koronkami.

N. 32. Suknia z długą tuniką.

N. 33. Suknia ze stanikiem z kamizelką. Patrz r. 8 tudzież r. 31 w N-rze 29.



N. 35. Wymiar rotundy na okrycie ryc. 34



N. 36. Wskazanie kroju draperyi do ryc. 41.



N. 37. Kapelusz słomkowy z tiulową główką.



N. 38. Kapelusz koronkowy z główką słomkową.



N. 39. Uczesanie w pukle wiązane.



N. 40. Suknia z koronkowym staniczkiem. Potrz ryc. 23.



N. 41. Suknia z fałdowaną draperyą. Patrz ryc. 1 w N-rze 29.